BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie (52 tomy)	rs. 10	Rocznie (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznię (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów)	„ 3

Za odnoszenie do domu 15 kop. kw.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . .	rs.	6	kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . .	„	3	„ —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . .	„	1	„ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.

Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670.
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH
№ 220

Rodzina Oberlé

napisał

RENÉ BAZIN.

TŁÓMACZYŁA

J. P.

Część I.

Cena 40 kop.
W pren. 30½ kop.

WARSZAWA
Redakcya i Administracya
47. Nowy-Świat 47.
—
1902.

RODZINA OBERLÉ.

RENÉ BAZIN.

Rodzina Oberlé.

TŁÓMACZYŁA

J. P.

Część I

WARSZAWA.
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава 4 Февраля 1902 года.

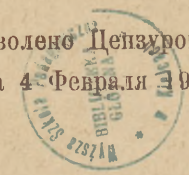

174109

ROZDZIAŁ I.

Noc lutowa w Alzacyi.

Nad mgłami Renu zajaśniał księżyc. Przez leśną szczelinę dojrzał go człowiek, kroczący po górskiej ścieżynie Wogezów. Był to wielki myśliwy i niezgorszy piechur. Po chwili zniknął w cieniu chojaków, lecz jedno spojrzenie, rzucone w przejściu na polankę, skąpaną w blaskach księżycowych, wystarczyło, aby mu uprzytomnić całą piękność przyrody, wśród której upływało jego życie.

Dreszcz rozkoszy nim wstrząsnął. Noc była chłodna i spokojna. Lekka mgła pokrywała wąwozy, mgła nieprzepojona jeszcze zapachem żonkilów i dzikich jagód, lecz rozlewająca wkoło woń inną, dla której niema ani nazwy, ani pory oznaczonej, woń żywic, zeschłych liści, odżywającej trawy, kory wzdętej na świeżych tkankach drzewnych i wyziew kwiatu nieśmiertelnego, wyziew leśnego mchu. Wędrowiec całą piersią wchłonął w siebie ten ulubiony mu

zapach; spijał go wielkiemi łykami, szeroko otwierając usta i tak uszedł z dziesięć kroków, a chociaż przywykł już do nocnego święta lasu, blasków na niebie i woni na ziemi, drgających życiem milczącem, rzekł do siebie półgłosem:

— Niech żyje zima! Niech żyją Wogezy! Pomimo wszystkiego obrzydzić was nie zdołali!

Zasunął laskę pod pachę, by jeszcze ciszej schodzić po piasku i zeschłych igłach, zalegających krętą ścieżkę, a potem dodał, odwracając głowę:

— Stąpaj ostrożnie, Wierny, mój przyjacielu! Szanuj to nadzwyczajne piękno!

O trzy kroki za wędrowcem dreptał pies bolońśki na wydłużonych nogach, z pyszczkiem jak u charta cienkim; teraz zdawał się popielatym, ale w rzeczywistości miał sierść szarą z rudemi plamkami, której długie włosy, niby frendzla odznaczały kontury jego nóg, tułowia i ogona. Poczciwe zwierzę widocznie zrozumiało słowa swego pana, bo dążyło za nim tak cicho, jak cicho płynęły księżycowe promienie po pióropuszach jodeł.

Wkrótce światło wślizgnęło się między gałęzie, pokruszyło mroki lub zmiotło je na szerokich przestrzeniach, rozciągnęło się wzdłuż stoków gór, owinęło pnie lub pokropiło je gwiaździście i zimne, niewyraźne, błękitne stworzyło z tych samych drzew las nowy, nieznany słońcu. Cudowne, olbrzymie, szybkie tworzenie, zabrało kilka minut czasu zaledwie i żaden dreszcz go nie poprzedził. Pan Ulrych Biehler schodził dalej, ogarnięty wzruszeniem, rosnącem

z każdą chwilą; czasem się pochylał, by lepiej obejrzeć podszycia leśne lub wzrok zatapiał w wąwozy; serce mu biło gwałtownie; wytężał wzrok i słuch jak kozice, gotowe opuścić szczyty, aby sunąć ku nizinom.

Ten wędrowiec, młody zapałem i umysłem, nie był wszakże młodym człowiekiem.

Pan Ulrych Biehler, przez wszystkich w okolicy zwany poprostu panem Ulrychem, miał już lat sześćdziesiąt; świadczyły o tem jego siwe, prawie białe włosy i również siwa broda. Jedni mają więcej piękności, więcej siły od drugich; on miał więcej młodości i tę nadwyżkę dotąd zachował. Mieszkał na górze św. Otylii, na wyżynie czterystu metrów, w domku leśnym, zbudowanym bez określonego stylu; ornego gruntu nie miał tu wcale, jedynie kawałek łąki stokowej; po za domem rozciągał się mały ogródek rok rocznie przez srogie zimy niszczony. Dom ten odziedziczył pan Ulrych po swym ojcu, który kupił go jedynie w zamiarze spędzania tu wakacyi. Pan Ulrych zaś zamieszkał w nim stale, zupełnie samotny, pomimo, że wiele miał ziemi i wielu przyjaciół w nizinach. Odludkiem nie był, ale nie lubił wtajemniczać nikogo w swoje życie. To też dla ludzi miał jakiś urok prawie legendowy.

Opowiadano o nim, że w roku 1870 przebył całą kampanię w hełmie srebrnym na głowie, a z hełmu spływał duży snop włosów kobiecych. Czy tak było istotnie? Nikt zato ręczyć nie mógł. Lecz kilkudziesięciu Alzatczyków zaświadczyć mogło, że pan

Ulrych, właściciel Heidenbruchu, trzymał wśród dragonów francuskich pierwsze miejsce, jako jeździec niezmordowany, czatownik najśmielszy, najczulszy towarzysz w niedoli, nigdy niepomny własnych cierpień.

Pod panowaniem niemieckiem pozostał Francuzem. To było jego weselem, oraz przyczyną wielu trudności, które się starał omijać lub znosić wzamian za łaskawie mu udzielone pozwolenie oddychania powietrzem Alzacyi.

W tem przykrem położeniu człowieka zwyciężonego, którego pilnowano i ledwie tolerowano, umiał jednak zachować swą godność. Nie zrobił ani jednego ustępstwa, które znamionowaćby mogło zapomnienie o ukochanej Francyi, ale też starannie unikał wszelkich jałowych manifestacyj i bezcelowego drażnienia wroga.

Pan Ulrych podróżował często po Wogezach, ponieważ znaczna część lasów należała do niego. Lasy te, któremi sam administrował, były pono najlepiej utrzymane w całej Dolnej Alzacyi. Dom jego, od lat trzydziestu zamknięty dla towarzystwa z powodu żałoby, był podobno urządzony z komfortem, a nawet wykwintnie. Kilka osób, Francuzów lub Alzatczyków, które próg tego domu przestąpiły, wychwalały gościnność i uprzejmość gospodarza. Najszczerzej kochali go chłopi, szczególniej ci, którzy z nim razem wojowali; kochało go też i młode pokolenie i kłaniało się uprzejmie, gdy mijał ich pola i winnice. Wszyscy już zdaleka poznawali pana Ul-

rycha po wysokiej i smukłej postaci i po ubraniu niezmiernie bronzowej barwy w różnych odcieniach; nosił jedynie lekkie materyały, które sprowadzał z Paryża.

Twarz jego była blada i prawie bez zmarszczek; przedłużała ją broda starannie utrzymana i w klin ścięta; pod wąsem chętnie uśmiechały się usta; nos prosty i wydatny znamionował rasę; szare oczy, zwykle dobre i mądre, umiały spoglądać wyzywająco i dumnie, gdy była mowa o Alzacyi; czoło szerokie, wcinające się ostremi kątami w gęstwinę włosów twardych, krótko przystrzyżonych, kładło piętno zadumy na tę twarz marsową.

Dnia tego pan Ulrych obchodził leśną porębę przy dolinie Bruche, służba więc nie spodziewała się, by znów wyszedł z domu; po obiedzie jednak rzekł do starej pokojowej Lizy, która mu usługiwała do stołu:

— Mój siostrzeniec, Jan, miał dziś wieczorem przybyć do Alsheimu. Gdybym zaczekał do jutra, zobaczyłbym go tu, wolę jednak widzieć się z nim dziś jeszcze. Wychodzę, a klucz od domu zostaw pod progiem i idź spać.

Gwizdnął na Wiernego, wziął laskę i puścił się drożyną, która z Heidenbruchu wiodła do lasu.

Pan Ulrych, według zwyczaju, miał na sobie kurtkę brunatną, a na głowie aksamitną czapkę myśliwską. Szedł prędko i w pół godziny znalazł się już na szerokiej drodze, po której zwykle spacerowali mieszkańcy Świętej Otylii; dążyli nią także pielgrzy-

mi. Przewodniki po Alzacyi zaznaczają tę drogę, bo z niej na przestrzeni stu metrów widać potok, przerzynający cały Alsheim; z miejsca zaś, w którem się schodzą zbocza gór, dojrzeć można cały szmat Alzacyi, wioski, pola, łąki, a za niemi, gdzieś daleko srebrną smugę Renu i góry Czarnego Lasu, jak len błękitne, jak fale zaokrąglone. Pomimo ciemnej nocy, pan Ulrych z przyzwyczajenia rozejrzał się wokoło, ale zobaczył tylko w górze błyszczące gwiazdy, a w dole punkty świetlane równej wielkości przejrzystą mgłą otoczone — lampy i świece mieszkańców Alsheimu.

Zaprzątnięty myślą o siostrzeńcu, którego miał za chwilę uściskać, wędrowiec zapytał się w duchu:

— Kogoż znajdę? Jakim on jest po trzech latach pobytu w Niemczech?

Sekundę zaledwie trwało zastanowienie.

Pan Ulrych minął drogę i zeszedł w las, aby prędzej dojść do celu. Teraz wznosiły się nad nim gałęzie buków, rosnących na zboczach góry aż do jodłowego zagajnika.

Trochę zeschłych liści drżało jeszcze na niższych gałęziach; reszta spadła już na ziemię, na pokład przeszłoroczny; zblakłe i wiotkie, jak jedwab resztki liści szczelnie pokrywały grunt, tworząc na nim rodzaj powłoki złotawej barwy, niezmiernie gładkiej; pnie, tu i owdzie upstrzone mchami, niby kolumny strzelały prosto w górę, a tam wysoko bratały się z sobą korony i łącząc się gałązkami, tworzyły sklepienie, przez które padało blade światło nocy.

Kilka krzaków przerywało harmonię linii. O sto metrów poniżej pas zieleni tworzył niby ścianę tej katedry w ruinach.

Nagle pan Ulrych dosłyszał szmer tak cichy, że z pewnością uszedłby czujności mniej wprawnego ucha. Szmer wychodził z zagajnika, do którego właśnie pan Ulrych dążył. Był to odgłos kamienia, lecącego po zboczu góry z przyśpieszoną szybkością i odskakującego od potrącanych przeszkód. Szmer stawał się coraz cichszy i wreszcie skonał w krótkiem uderzeniu; widocznie kamień spadł w wąwóz i rozbił się o jego dno skaliste. Cisza znów zapanowała w lesie; gdy powtórnie jednak dał się słyszeć odgłos lecącego kamienia, tym razem o wiele mniejszego. Jednocześnie Wierny najeżył sierść i warcząc powrócił do swego pan.

— Do nogi, Wierny! Nie trzeba, żeby nas widziano—szepnął pan Ulrych.

Całem ciałem przypadł do grubego pnia; zrozumiał, że ktoś idzie w jego stronę i domyślał się, kogo może spotkać. Istotnie, ze ściany zieleni wychylił się najpierw łeb, potem przednie nogi, a wreszcie cały kadłub konia. Białym oparem szybko buchały nozdrza zwierzęcia, które z trudem wstępowało na zbyt stromą pochyłość.

Koń wytężał mięśnie i zginał haczykowato przednie nogi; opierając się prawie brzuchem o ziemię, posuwał się naprzód w podskokach i bardzo cicho; zaledwie słychać go było, gdy stąpał po mchach i grubem pokryciu ziemi; tylko liście przesuwały się je-

dne po drugich, niby krople wody. Na grzbiecie niósł jeźdźca, odzianego w jasno-błękitny mundur; jeździec, pochylony nad karkiem wierzchowca, trzymał swą lancę prawie poziomo, jak gdyby nieprzyjaciel stał w pobliżu. Oddechy konia i jeźdzca zlewały się z sobą w chłodzie nocy. Kroczyli naprzód ruchami istot walczących.

Pan Ulrych dojrzał wkrótce żółte naszycia munduru, czarne, długie buty i poznał kawalerzystę z pułku huzarów nadreńskich, stojących w Strassburgu; potem dostrzegł jeszcze na lancy żółtego orła, oznakę stopnia podoficera; wreszcie zobaczył pod płaską czapką twarz bez zarostu, spoconą i krwią nabiegłą, oczy jasno piwnej barwy, niespokojne, dzikie, zwrócone prawie ciągle ku prawej stronie lasu i raz wraz smagane grzywą końską. Był to Godfryd Hamm, syn naczelnika policyi w Obernai i kwatermistrz wojsk, stojących w Strassburgu.

Godfryd oparł się o drzewo, za którem stał pan Ulrych; cienie jeźdźca i konia padły na nogi Alzatczyka i na mech puszysty, pozostawiając za sobą zapach potu i rzemieni. Huzar, mijając drzewo, raz jeszcze spojrzał na prawo, w kierunku długości bukowego lasu; pan Ulrych spojrzał tam również i dostrzegł o kilkadziesiąt metrów dalej drugiego jeźdźca, dalej trzeciego, a jeszcze dalej zamajaczyły mu w oczach niewyraźne sylwetki jeźdzców i koni. Nagle, niby robaczek świętojański, zamigotała w głębi lasu błyskawica. Był to rozkaz. Jeźdzcy skręcili na pra-

wo i milcząc podążyli jeden za drugim, prowadząc w dalszym ciągu jakieś tajemnicze manewry.

Przez chwilę jeszcze sunęły po lesie cienie Prusaków; szmer deptanych liści cichł, wreszcie skonał i znów noc zapanowała niepodzielnie.

— Groźny—rzekł półgłosem pan Ulrych — groźny to przeciwnik, który ćwiczy się nieustannie. Tam, w głębi, z pewnością stał oficer, ku niemu szły spojrzenia żołnierzy. Jego to szabla zajaśniała w świetle księżyca. Dojrzeli ją najbliżsi. Wszyscy zawrócili. Jak cicho jechali! W czasie wojny jednak mógłbym sprzątnąć ze dwóch z naszej ziemi.

Potem, patrząc na psa, który kręcąc ogonem, wesoło spoglądał na swego pana, dodał:

— Tak, tak, już nas minęli... Ja i ty jednakowo ich kochamy...

Nie ruszał się jednak z miejsca; czekał, a może huzarzy nawrócą? Unikał zawsze spotkania z wojskiem pruskiem. Widok jego ranił drażliwą duszę zwyciężonego Alzatczyka i wierność dochowaną Francyi, wzbudzając lęk przed nową wojną, która jednak nie nadchodziła. Dziwiło to niepomiernie pana Ulrycha.

Nieraz zdarzało się, że nakładał drogi, by ominąć idących żołnierzy. I po co ci huzarzy zamącili mu teraz spokój? Nieustanne manewry! Ciągle tych Niemców nurtuje myśl o Zachodzie, niby krwiożercze zwinne i gibkie zwierzęta, czuwają wciąż na szczytach Wogezów, czyhając na chwilę odpowiednią do zejścia...

Alzatczyk schodził ze spuszczoną głową, pełną smutnych wspomnień, które zwykle budziło lada słowo, lada drobnostka, w nich bowiem spowita była cała młodość tego człowieka i wśród nich żył on dotąd... Stąpał cicho i nawet nie pogłaskał Wiernego, chociaż pies, idąc za nim, raz wraz ocierał głowę o jego zwieszoną rękę, jak gdyby chciał zapytać:

— O cóż ci idzie, skoro oni już odeszli?

Po kwadransie pan Ulrych, idąc znów szerokim traktem, stanął na skraju lasu. Powiew wiatru żywszy, chłodniejszy przeciągał między dębami i leszczynami, przechylając ich wierzchołki.

Pan Ulrych zatrzymał się chwilę, spojrzał na prawo i z niezadowoleniem wzruszył ramionami.

— Tą samą drogą *oni* powrócą i nikt ich nie zauważy. Tymczasem niechże mi już zejdą z myśli, gdy mam zobaczyć Jana Oberlé!

Zeszedł z ostatniego wzgórka, zostawiając za sobą krzaki i zarośla, kryjące widok na płaszczyznę. Odkryło się całe niebo, a pod niem rozciągały się pola Alzacyi. Zapachy roli, uprawionej pod zasiew, i traw, zwilżonych rosą, podnosiły się z ziemi, niby żniwo nocy. Wiatr je roznosił, wiatr zimny, zwykły gość tej płaszczyzny, błędny towarzysz Renu. Alzacya spała w mrokach, w których nic prawie rozróżnić nie było można, prócz ciągnącej się w oddali łamanej linii dachów; skupiały się one dokoła szarej, kopulastej dzwonnicy, zakończonej wieżyczkową igłą. To wioska Alsheim. Pan Ulrych przyśpieszył kroku, odnalazł potok i szedł jego brzegiem; wkrótce wyraźnie zary-

sował się przed nim wysoki, obszerny dom rodziny Oberlé, otoczony drzewami parku.

Dom wznosił się po prawej stronie drogi, od której oddzielał go najpierw biały mur, a później potok, przerzynający wioskę na przestrzeni dwustu metrów; potok ten dostarczał wody, potrzebnej do maszyn i płynął w uregulowanem łożysku między drzewami parku.

Pan Ulrych otworzył żelazną kratę bramy, przeszedł mostek, minął domek odźwiernego, szopy napełnione drzewem, stosy belek, skrzyżowanych desek, drągów i skręcił na lewo, na drogę, wijącą się wśród klombów i trawników; wkrótce stanął przed gankiem dwupiętrowego domu; nad piętrami widniały jeszcze poddasza. Budynek, z czerwonego kamienia, zbudowany był przynajmniej przed pół wiekiem. Było już po ósmej. Pan Ulrych wbiegł prawie na pierwsze piętro i zapukał do drzwi jednego z pokojów.

— Proszę! — odezwał się młody głos.

Pan Ulrych nie zdążył nawet zdjąć czapki, bo Jan Oberlé rzucił mu się na szyję i wołał, całując go i ściskając z całych sił:

— Wuj Ulrych! Co za szczęście! Ach! jaką piękną myśl miałeś, wujaszku!

— No, puśćże mnie, Janku! Dosyć już! Dziś przyjechałeś?

— O trzeciej po południu. Jutro wybierałem się do ciebie, wuju!

— Byłem tego pewny, ale nie mogłem tak długo czekać, musiałem przyjść tutaj i zobaczyć cię.

Trzy lata nie widziałem cię, mój Janku! Niech ci się przyjrzę, drogi chłopcze!

— Służę — roześmiał się Jan. — Zmieniłem się, co?

Przysunął wujowi fotel skórą obity i usiadł naprzeciw niego na kanapie, okrytej pokrowcem. Między nimi stał stoliczek do robót kobiecych, a na nim lampa z metalową podstawą. Tuż obok widać było przez okno park, oblany promieniami księżyca. Pan Ulrych patrzył na Jana z ciekawością zarazem serdeczną i dumną. Jan urósł jeszcze; teraz przewyższał wzrostem swego wuja. Typowo alzackie rysy jego twarzy nabrały wyrazistości, pewnej stanowczości w konturach. Wąs miał bogatszy, a w ruchach swobodę człowieka, który poznał kawał świata. Włoska bladość policzków, ciemne obwódki oczu i włosy ciemne z przedziałem na boku, wreszcie usta blade, odkrywające w uśmiechu lub mowie dwa rzędy zdrowych, przejrzystych zębów, nadawały mu cechy południowca. Ale Jan był prawym synem Alzacyi, co poznać było można po twarzy szerokiej, po oczach zielonych, jak lasy Wogezów, po kwadratowej brodzie i silnej budowie ciała wieśniaków z dolin tutejszych. Bo też jego pradziad sam orał pługiem tę ziemię. Ze spojrzenia tryskającego młodością i siłą poznał pan Ulrych, że dwudziestoczteroletni Jan Oberlé był, moralnie rzecz biorąc, takim samym prawie, jak przed trzema laty.

— Tak — rzekł po długiej chwili — nie zmie-

niłeś się! Wyrosłeś tylko! Jesteś już mężczyzną! Lękałem się zmian innych!

— Dlaczego?

— Bo, mój drogi, w twoim wieku pewne podróże są próbami... Ale powiedzże mi, zkąd teraz wracasz?

— Z Berlina, gdzie zdałem *Referendarexamen.*

Wuj wybuchnął urywanym śmiechem, który zaraz powstrzymał, jakby ukrył w siwej brodzie.

— Powiedzmy po naszemu, że jesteś magistrem prawa.

— I owszem, wuju.

— O tem wiem już od roku; ale teraz proszę cię o bliższe szczegóły... Jak czas spędzałeś!

— Rok przeszły spędziłem w Berlinie, ucząc się prawa. Potem aż do sierpnia pracowałem w kancelaryi adwokata. Następnie, za pozwoleniem ojca, zwiedziłem Czechy, Węgry, Kroacyę, Kaukaz. Pół roku zajęły mi te podróże; wreszcie wstąpiłem do Berlina po mój studencki tobołek, złożyłem kilka pożegnalnych wizyt i wróciłem...

— Ach! Twój ojciec... zapomniałem o niego zapytać... Zdrów jest?

— Niema go w domu.

— Jakto? W dzień twego powrotu?

Jan odparł z pewną goryczą w głosie:

— Musiał być na wielkim obiedzie u radcy von Boschera... Zabrał też moją siostrę... Podobno bardzo wspaniałe przyjęcie...

Przez chwilę panowała cisza. Obaj śmiać się przestali. Czuli, że już po kilku minutach rozmowy wyszła na jaw sprawa główna, drażniąca, nieunikniona, której obejść nie można, która łączy i rozdziela, tkwi w głębi wszystkich stosunków, instytucyi społecznych, jest podstawą zaszczytów i wszelkiego ucisku; ona to od lat trzydziestu trzyma całą Europę pod bronią.

— Sam obiadowałem — zaczął Jan — to jest w towarzystwie mego dziadka.

— W obecności chyba... biedny człowiek... taki zniedołężniały!

— Ale nie myślą, zaręczam ci wuju.

Znowu zapadło milczenie, poczem pan Ulrych zapytał z pewnem wahaniem:

— A moja siostra? Twoja matka? pojechała także?

Młody człowiek skinął głową twierdząco.

Rysy starszego mężczyzny zadrgały tak żywem cierpieniem, że odwrócił oczy, by Jan nie dojrzał zawartego w nich bólu. Wzniósł je przypadkowo ku wiszącej na ścianie akwareli Spindlera, przedstawiającej trzy młode Alzatki około huśtawki. Szybko opuścił wzrok na synowca, spojrzał mu prosto w oczy i zapytał ze stłumionem wzruszeniem:

— A ty?... Wszak mogłeś także pojechać do radcy... tak się przecież u was z Niemcami przyjaźnią. Nie miałeś ochoty towarzyszyć rodzicom?

— Nie.

Słowo to wypowiedział Jan wyraźnie i z wielką

prostotą. Ale pan Ulrych nie znalazł w tej odpowiedzi żądanego wyjaśnienia. Tak, Jan Oberlé był już mężczyzną. Nie chciał wypowiadać swego zdania, któreby mogło być naganą, albo oskarżeniem blizkich mu osób.

Wuj ciągnał dalej tym samym ironicznym tonem:

— Przez całą zeszłą zimę słyszałem nieustannie o twoich powodzeniach berlińskich; nie oszczędzano mnie weale; wiedziałem, że tańczysz z jasnowłosemi siostrami naszych wrogów; przytaczano mi nawet imiona i nazwiska...

— O, proszę cię, wuju, nie bawmy się w takich, jak gdybyśmy się lękali spojrzeć w oczy prawdzie i wypowiadać otwarcie swoje zdania. Inne, niż ty, wuju, odebrałem wychowanie, to prawda, ale to mi nie przeszkodziło kraju tego ukochać całą duszą... przeciwnie...

Pan Ulrych wyciągnął przez stół rękę i ścisnął dłoń Jana:

— Tem lepiej — rzekł.

— Wątpiłeś o tem, wuju?

— Nie wątpiłem, moje dziecko, ale nie wiedziałem: patrzę na tak bolesne rzeczy, na tyle przekonań osłabłych...

— Chcę się tu osiedlić i to jest chyba najlepszym dowodem, że kocham Alzacyę.

— Jakto? — rzekł zdumiony pan Ulrych. — Pomimo woli ojca, nie powiększysz zastępu niemieckich urzędników? To nie drobnostka, mój drogi, tak

zawieść jego ambicyę. Miałeś zrobić karyerę... On wie o tem?

— Domyśla się, choć nie mówiliśmy jeszcze. Nie było czasu.

— Więc czem się zajmiesz?

Wesoły uśmiech zaigrał na ustach Jana.

— Będę rąbał, ciął drzewo, jak mój ojciec, jak dziad Filip, osiądę między wami. Podróżując po Niemczech i Austryi, zwiedzałem lasy i oglądałem fabryki do naszych podobne... Ty płaczesz, wuju?

— Prawie.

Pan Ulrych nie płakał, lecz końcem palca musiał otrzeć zwilżone powieki:

— To z radości, mój drogi! o, z wielkiej i szczerej radości! Ty pozostałeś wierny temu, co kocham najsilniej na świecie... Ty z nami pozostaniesz... Ty nie przyjmiesz ani urzędu, ani odznaczenia od tych, co ojczyznę twoją zgwałcili... o tem zaledwie marzyć śmiałem .. Tylko, szczerze mówiąc, nie rozumiem... zdziwiłem się, że nie jesteś podobny do twego ojca i do Lucyny, tak otwarcie pogodzonych z losem. Nauki pobierałeś w Monachium, w Bern, w Heidelbergu, w Berlinie. Cztery lata spędziłeś w Niemczech, nie rachując lat szkolnych. I nie zostałeś Niemcem?

— Jestem takim samym Niemcem, jak ty, mój wuju!

— To znaczy — żadnym.

— Gorzej jeszcze, bo znam ich lepiej od ciebie. Mam więc sąd porównawczy.

— A więc?

— Niżej od nas stoją.

— Toś mnie uradował! Tutaj ciągle słyszę zdania przeciwne. We Francyi szczególniej nie mogą się dość nachwalić swych zwycięzców z roku 1870.

Młody człowiek, porwany wzruszeniem pana Ulrycha, pochylił się naprzód, a światło lampy dodało blasku jego zielonym oczom.

— Nie chciałbym cię w błąd wprowadzać, wuju Ulrychu! Nienawiści do Niemców nie żywię i w tem różnię się od ciebie. Podziwiam ich nawet, bo pod pewnemi względami na to zasługują. Z kilku kolegami łączyły mnie życzliwe stosunki. Należę do pokolenia, które inaczej żyło i nie widziało tego, na co patrzyły twoje oczy. Ja nie należałem do zwyciężonych...

— Szczęśliwiec z ciebie!

— Tylko, im lepiej ich poznawałem, tem silniej odczuwałem, że jestem od nich inny, że pochodzę z innej rasy, inną mam kategoryę ideałów, którą uważam za wyższą, w której niema dla nich miejsca i którą, sam nie wiem czemu, nazywam Francyą!

— Brawo, Janie, brawo!

Stary oficer dragonów pochylił naprzód twarz swą mocno pobladłą; teraz dzieliła ich tylko szerokość stołu.

— Nazywam Francyą, wuju! Jest ona w mem sercu marzeniem; to kraj, w którym łatwiej myśleć...

— Tak.

— Mówić...

— Właśnie.

— I śmiać się!

— Prawda!

— Kraj, w którym dusze mają nieskończoną ilość odcieni, który posiada czar kobiety ukochanej... coś, jakby upiększona Alzacya!

Powstali obydwaj. Pan Ulrych przyciągnął do siebie siostrzeńca i przytulił do piersi jego szlachetną głowę.

— Francuzem jesteś — wyrzekł — Francuzem do szpiku kości, do ostatniej kropli krwi... Biedny chłopiec.

Jan mówił dalej z głową o ramię wuja opartą:

— Dlatego nie mogę żyć tam, za Renem i osiądę tutaj.

— Tem słuszniej powiedziałem: „biedny chłopiec!" — odparł pan Ulrych. — Niestety, wszystko się tu zmieniło... nawet w twym własnym domu... Będziesz cierpiał dużo przy twem usposobieniu... Wszystko teraz pojmuję, wszystko!

Potem dodał, wypuszczając młodzieńca ze swych objęć:

— Jakże rad jestem, że przyszedłem tu dziś. Usiądź przy mnie. Tyle rzeczy mamy sobie do powiedzenia, mój Janku, mój Janku.

Usiedli obaj na kanapie rozpromienieni szczęściem. Pan Ulrych gładził swą rozrzuconą brodę i uspakajając się zwolna, mówił:

— Wiesz ty, że popełniliśmy przestępstwo (które popełniam zawsze z rozkoszą), mówiąc w ten spo-

sób o Francyi! To rzecz niedozwolona. Gdyby nas Hamm usłyszał, wytoczyłby nam bezwarunkowo proces.

— Widziałem go dziś.

— A ja przed chwilą spotkałem w lesie jego syna, podoficera w pułku huzarów nadreńskich... Twój przyszły pułk. Co to? Słychać turkot powozu?

— Nie.

— Posłuchaj.

Zamilkli, spoglądając przez okno na park, tonący w świetle księżyca, na trawnik w kształcie liry, na białe aleje i czerwony dach fabryki. Dolatywał do nich tylko szmer potoku przy upuście, szmer jednostajny, który oddalał się lub przybliżał, stosownie do siły i kierunku wzmagającego się wiatru, wiejącego w tej chwili z północno-wschodniej strony, z „platformy katedralnej," jak mówił wuj Ulrych, myśląc o Strassburgu.

— Nie — odezwał się po chwili Jan — to tylko woda szumi przy upuście. Mój ojciec kazał woźnicy pojechać do Molsheimu, a pociąg przychodzi zaledwie o wpół do dwunastej, Mamy jeszcze sporo czasu na gawędę.

Z czasu tego skorzystali.

Rozmawiali teraz bez pośpiechu, bez niepokoju, jak ludzie, którzy porozumieli się w kwestyi najważniejszej i mogą już bezpiecznie poruszać wszystkie inne, drugorzędne tematy. Mówili o służbie wojskowej Jana, odroczonej do tej pory, o nowym trybie

życia żołnierza ochotnika, które rozpocznie w październiku, o mieszkaniu, które trzeba mu będzie wynająć w Strassburgu; o tem, że prawdopodobnie co niedziela zaglądać będzie do Molsheimu. Ta droga nazwa przywiodła im mnóstwo wspomnień z samej wioski, z góry świętej Otylii, z leśnego domku w Heidenbruchu, z Obernai, z Saverne, gdzie był las wuja Ulrycha, z Guebwiller, gdzie mieszkali ich krewni. Wywoływali w ten sposób obraz Alzacyi. Rozumieli się doskonale. Palili papierosy, siedząc na kanapie, z nogą na nogę założoną, dając folgę słowom i głosowi, bo śmieli się często.

Gawęda przeciągnęła się tak długo, że północ wybiła na zegarze, wiszącym nad drzwiami.

— Może obudziliśmy twego dziadka? — spytał pan Ulrych, wstając i skazując ręką na ścianę, dzielącą pokój Jana od sypialni starca.

— Nie—odparł Jan.—Teraz prawie wcale nie sypia. Jestem pewny, że śmiechu naszego słuchał z zadowoleniem. Ponieważ moja rodzina opuściła mnie o piątej po południu, sporo czasu spędziłem z dziadkiem i przyjrzałem mu się dobrze. Słyszy i rozumie wszystko. Jestem pewny, wuju, że głos twój poznał, a może kilka zdań pochwycił.

— I sprawiły mu one przyjemność. To człowiek ze starej Alzacyi, która wam bajeczną się prawie wydaje i z której ja też pochodzę, choć młodszy jestem od pana Oberlé. Ta Alzacya była do głębi francuską, nie ugiął się ani jeden człowiek z owej epoki. Spojrzyj na swego dziadka, na pana Bastiana.

My należymy do pokolenia, które cierpiało. My uosobiamy ból, twój ojciec rezygnacyę.

— A ja?

Pan Ulrych popatrzył na niego swym przenikliwym wzrokiem.

— Ty? Ty uosabiasz legendę.

Uśmiechnąć się chcieli, ale nie mogli, jak gdyby to słowo zawierało w sobie trafność głębszą, niż ją znaleźć można w zwykłych sądach ludzkich i jak gdyby czuli, że w tym pokoju jest przeznaczenie niewidzialne, nieubłagane i mówi w ich sercach: „Tak, to prawda, ty uosabiasz legendę."

Ogarniający ich niepokój można było wytłómaczyć jedynie obecnością tej tajemnicy życia. Niepokój minął.

Pan Ulrych podał siostrzeńcowi rękę o wiele poważniej, uroczyściej, niż to uczyniłby przed wypowiedzeniem prawie mimowolnem tego słowa. Nie cofał go, lecz był nim mocno przejęty.

— Do widzenia. Janku. Wolę odejść przed powrotem mego szwagra. Nie wiedziałbym, jak z nim mówić. Przeszkadzalaby mi nasza dzisiejsza rozmowa. Pozdrowisz go odemnie. Wrócę do moich lasów przy tem cudnem oświetleniu... Żeby tak jeszcze mieć strzelbę w ręku i możność upolowania pary głuszców!...

Przeszli kilka kroków po korytarzu, wysłanym dywanem, kierując się w stronę schodów.

— Wuju—szepnął Jan—zajdź do mego dziadka. To go ucieszy. Pewny jestem, że czuwa dotąd.

Wuj Ulrych, który szedł naprzód, zawrócił natychmiast, a Jan nacisnął klamkę od drzwi i pierwszy wszedł do pokoju, mówiąc głosem przyciszonym:

— Dziadku, przyprowadziłem ci gościa. Wuj Ulrych pragnie zobaczyć się z tobą.

W pokoju rolety u okien były spuszczone i panował półcień, rozjaśniony małą, nocną lampką, postawioną w głębi, między oknem a łóżkiem, w róg sypialni wsuniętem. W małym kręgu światła jaśniał krzyż miedziany i złoty zegarek, jedyne błyszczące przedmioty w tym pokoju. Na łóżku leżał, a raczej siedział starzec, ubrany w kaftanik z szarej wełny; plecy i głowę opierał o poduszki, ręce kryło prześcieradło tak świeże, że znać było załamki składanej po uprasowaniu bielizny. Pas kanwowy od dzwonka, zakończony frendzlą, spływał na pościel, bo dla człowieka, który tu leżał, każdy ruch był uciążliwy. Zewnętrzne objawy życia coraz bardziej w nim słabły. Nie mówił już wcale. Usta pod obwisłemi i blademi policzkami poruszały się tylko przy jedzeniu i przy wypowiadaniu jedynych trzech wyrazów: „Jeść! Pić! Odejdź!"

Opuszczone szczęki świadczyły o starczej apatyi tego człowieka, który niegdyś tysiącom przewodził.

Pan Ulrych i Jan doszli do środka pokoju, a on nawet najlżejszym ruchem oczu nie dał poznać, że wie o ich obecności. Z twórcy przemysłu, który własną pracą dorobił się majątku, z posła opozycyjnego, który na posiedzeniach parlamentu dopominał się

u księcia Bismarka o prawa Alzacyi, została tylko smutna ruina. W tem półżyciu jakiż korowód ludzi i rzeczy przesuwać się musiał przed starcem, który znał całą Alzacyę wszerz i wzdłuż, spijał jej wina u stołów bogatych i biednych, on, wędrowiec, kupiec, leśnik, patryota!... Cóż z niego pozostało!? Ta łysa i pomarszczona głowa, twarz obwisła, ciężkie powieki, między któremi, jak kula w nieruchomej oprawie, obracało się oko smutkiem przesłonięte. Pomimo to nocnym gościom zdało się, że te oczy spoczęły na nich z niezwykłą życzliwością. Zamilkli, aby nie przerywać starcowi jakiejś słodkiej myśli, dla nich nazawsze niewiadomej.

Potem wuj Ulrych zbliżył się do łóżka, położył rękę na ramieniu Filipa Oberlé i nachylił się nad jego uchem, aby go lepiej usłyszano i, aby mógł sam wpatrzyć się lepiej w te oczy znużone.

— Panie Oberlé, rozmawiałem długo z twoim wnukiem... Twój Jan, to dzielny chłopiec.

Filip Oberlé ruchem całego korpusu odwrócił głowę, chcąc przypatrzeć się wnukowi.

— Dzielny chłopiec—ciągnął dalej pan Ulrych— nie zmarnował się w Berlinie! Nie przyniesie ci wstydu, bo to Alzatczyk, patryota... Możesz się pan nim szczycić.

Pomimo słabego oświetlenia pokoju wuj i siostrzeniec dostrzegli jakiś cień uśmiechu na twarzy starca; odpowiedź duszy zawsze młodej. Odeszli teraz, mówiąc:

— Dobranoc, panie Oberlé; dobrej nocy dziadku!

Płomień lampy zamigotał, drzwi się zamknęły i półżycie znów zapanowało w pokoju, do którego po zachodzie słońca dochodziły jedynie godziny wydzwaniane na kościele w Alsheimie.

Wuj i siostrzeniec rozstali się przed gankiem.

Noc była mroźna, biały szron pokrywał trawniki.

— Dobry czas na wędrówkę — odezwał się pan Ulrych.—Jutro czekam na ciebie w Heidenbruchu.

Gwizdnął na Wiernego i pogładził go, mówiąc:

— Prowadź mnie, bo będę marzył o tem, co mi to drogie dziecko powiedziało.

Zaledwie oddalił się o kilka kroków i słychać jeszcze było jego stąpanie po drodze, wiodącej do lasu Urlosen, kiedy do uszu Jana dobiegł turkot powozu od strony Obernai. Kopyta końskie, uderzając o kamienistą szosę, przypominały uderzenia cepów o klepisko; ten miejski odgłos nie mącił nikomu spokoju, nikomn snu nie przerywał; nie z tego powodu z pewnością ujadał Wierny.

Jan nasłuchiwał. Wkrótce turkot przycichł, co dowodziło, że powóz toczył się teraz między domami, a raczej między ogrodami, które zalewały Alsheim na wiosnę powodzią kwiecia, jabłoni, wisien i leszczyny. Nagle turkot się wzmógł, spotężniał, niby odgłos pociągu, wypadającego z tunelu. Piasek zaskrzypiał na końcu alei; dwie latarnie zajaśniały w parku, rzucając nikłe światło na trawniki, krzewy i pnie drzewne, które po chwili znów znikały w mrokach; wreszcie powóz stanął przed domem.

Jan, który stał dotąd na ganku, teraz zbiegł szybko ze schodów i otworzył drzwiczki karety. Wyszła z niej natychmiast młoda dziewczyna z różową twarzą, cała w bieli: biały był kapturek, białe okrycie i białe pantofelki. Przechodząc, pochyliła się w prawo i musnęła pocałunkiem czoło Jana.

— Dobranoc, braciszku — szepnęła, poruszając sennie ustami.

Chwiejnym niepewnym krokiem przeszła dalej, podnosząc białą suknię i po chwili znikła w głębi domu.

— Jak się masz, Janie!—zabrzmiał głos męzki, rozkazujący.—Czekałeś na nas... źle zrobiłeś. Chodź prędzej, Moniko! Konie bardzo się zgrzały. Auguście, dasz im jutro dwanaście litrów owsa i zaprowadzisz je do kuźni... Szkoda, Janie, że nie byłeś z nami, pan von Boscher dwa razy się pytał o ciebie.

Jegomość, przemawiający tym tonem, miał już czas wyjść z powozu, podać rękę Janowi, zwrócić się do żony, wejść na ganek i okiem znawcy ocenić zmęczenie dwóch czarnych, okrytych pianą perszeronów. Siwe faworyty okalały twarz pełną i jędrną, pod rozpiętym paltotem widać było wyciętą kamizelkę i biały gors koszuli, na nim trzy błyszczące spinki.

Ruchy jego ręki, migające przez chwilę w świetle księżyca, przypominały gesty wprawnego mówcy. Po wydaniu rozkazów pan Józef Oberlé, jako czujny, pamiętający o wszystkiem gospodarz domu, podniósł głowę i wytężył wzrok ku tej stronie, gdzie leżały

piramidy ściętych drzew, aby się upewnić, czy czasem ogień nie groził pożarem, lub jaki cień pedejrzany nie snuł się koło fabryki; potem, lekko przeskakując po dwa stopnie schodów, wszedł do domu, nie otrzymawszy od syna ani słowa odpowiedzi. Jan tymczasem pomógł matce wysiąść z powozu, wziął z jej rąk wachlarz i zapytał:

— Moja mateczka najdroższa bardzo zmęczona?

Stroskane oczy uśmiechały się do niego, wązkie usta mówiły:

— Nie bardzo, ale w moim wieku takie przyjemności zawsze są męczące. Masz starą matkę.

Opierała się na ramieniu syna więcej przez dumę, niż z potrzeby, i w uśmiechu jej tkwił jakiś smutek bezbrzeżny; wchodząc z synem na stopnie ganku, zdawała się pytać go spojrzeniem:

— Przebaczysz mi, że tam byłam? Musiałam, chociaż cierpiałam bardzo.

Miała na sobie suknię z czarnego atłasu i pelerynę z niebieskich lisów; brylanty jaśniały w jej czarnych dotąd włosach. W oczach Jana podobna była do nieszczęśliwej królowej, podziwiał piękność ruchów i głowy tej rasowej Alzatki, czuł się synem tej kobiety i to napełniało go dumą, którą przed nią tylko chciał odsłonić. Prowadził ją pod rękę aż do drzwi jej pokoju i przystawał za każdym krokiem, aby mieć ją dłużej przy sobie.

— Mamo, miałem dziś śliczny wieczór... ciebie nam tylko brakowało. Wyobraź sobie, że wuj Ulrych

przyszedł tutaj o wpół do dziewiątej i dopiero co odszedł.

Pani Oberlé uśmiechnęła się melancholijnie i mówiła:

— Nigdy tak długo z nami nie zostaje.

— Nie zostawał, powiedz mateczko, ale ja go tu sprowadzę.

— O młodości, młodości, gdybyś wiedziała, ile mnie rzeczy opuszcza!

Przystawała także, przyglądała się temu synowi, tak dawno niewidzianemu, i uśmiech jej stawał się weselszy.

— Kochasz mego brata?

— Jeszcze więcej, niż dawniej. Zrozumiałem go.

— Dawniej byłeś na to za młody.

— Gawędziliśmy ciągle i rozumiemy się we wszystkiem.

Słodkie oczy szukały spojrzenia syna w półmroku schodów.

— We wszystkiem?—spytała.

— Tak, tak, mateczko.

Doszli do korytarza.

Tu położyła palec na ustach, wysunęła rękę z pod ramienia Jana i stanęła przed drzwiami swego pokoju, wprost drzwi wiodących do sypialni pana Filipa Oberlé. Jan ucałował matkę, potem cofnął się i znów w milczeniu przycisnął ją do piersi.

Odszedł wgłąb korytarza i raz jeszcze popatrzył na tę kobietę w żałobie, która tak harmonizowała

z całą jej postacią, tyle miała w sobie prostoty, tyle było wdzięku w jej opuszczonych ramionach, w tej głowie o rysach wyrazistych, a tak słodkich zarazem. Szepnął w końcu wesoło:

— Święta Moniko Oberlé, módl się za nami.

Może tych słów nie dosłyszała. Pozostała tylko przy drzwiach z ręką na klamce, dopóki syn mógł ją dojrzeć, a Jan odchodził powoli z twarzą ku niej zwróconą.

Wrócił do siebie rozradowany, z głową pełną wspomnień z dzisiejszego wieczoru, które teraz w samotności, jak stado ptaków koło niego krążyły. Wiedział, że nie zaśnie tak prędko i otworzył okno. Zimny podmuch szedł równym pasem z północno-wschodniej strony. Mgła się rozwiała. Z mroku nocy wyłaniały się szmaty uprawnej roli; po za niemi ciemniały szczyty gór, tu i owdzie poprzecinane linią wysokich lasów, niebo pokryte było gwiazdami. Jan chciał odgadnąć, w którem miejscu krył się dom wuja Ulrycha. Oczami wyobraźni widział wuja zbliżającego się w tej chwili do domu; nagle od skraju lasów doszedł go jakiś chóralny śpiew. Dreszcz rozkoszy nim wstrząsnął, bo muzykę lubił namiętnie. Głosy były piękne, młode i czyste. Było najmniej ze dwadzieścia, może trzydzieści, a może pięćdziesiąt. Z powodu oddalenia nie mógł dosłyszeć słów, tylko melodyę, jakąś powolną, uroczystą, jakby organową. Wiatr Alzacyi roznosił dźwięki pieśni o rytmie rycerskim. Potem do uszu Jana wyraźnie doleciało kilka wyrazów. Wzruszył ramionami, zły na siebie, że nie po-

znał odrazu, kto śpiewał: był to chór żołnierzy niemieckich, wracających z manewrów, tych samych huzarów nadreńskich, których spotkał pan Ulrych Biehler, idąc do Alsheinu. Śpiewali według zwyczaju, aby nie zdrzemnąć się w drodze, a w pieśni ich zawarta była cała potęga miłości ojczyzny. Stąpanie koni, niby przytłumione cymbałki wtórowały melodyi. Słowa leciały i drgały:

Zanućmy głośno dźwięczny śpiew,
Śpiew nad śpiewami niech nam brzmi!
Niech echo dolin i szum drzew
Rozniesie wzniosły, silny śpiew!
Tobie, ojczyzno niezwalczona,
Tobie, kraino naszych snów,
Ziemico wolnych krwią zbroczona
W ofierze życie niesiem znów!

Jan pragnął przerwać tę pieśń niemiecką. Jednak ileż to razy słyszał w przeróżnych miastach niemieckich śpiew żołnierzy? Czemuż taki smutek ogarnął go teraz? Czemuż dzisiaj tak boleśnie wpijały się w jego duszę te słowa, które znał tak dobrze, że mógłby je z pamięci powtórzyć? O paręset metrów od wioski śpiew ucichł. Rozlegał się tylko tętent koni. Jan wychylił się z okna, aby lepiej się przyjrzeć jeźdzcom. Mógł ich dojrzeć przez kratę żelazną ogrodzenia murowanego. Wśród lekkiej mgły sunęła jakaś masa ruchoma, a wiatr rozpędzał opary, uginając je, niby wąsy na kłosach zboża. Ani koni, ani ludzi rozróżnić nie było można. Jan myślał z ta-

jemniczym i wzrastającym bólem: „Tak ich wielu jest tutaj.” W Berlinie, w Monachium, w Heidelbergu wywierali nań tylko wrażenie siły nieskierowanej do jakiegoś wyraźnego celu, wróg nie był widzialny— było nim wszystko, co sprzeciwiało się wielkości państwa niemieckiego. Jan Oberlé nieraz nawet podziwiał szeregi maszerujących pułków i straszliwą potęgę człowieka, który rozkazywał tak wielkiej liczbie ludzi. Ale tutaj, na kresach, na ziemi przesiąkniętej krwią tak niedawno przelaną, żyły wspomnienia zbyt jaskrawo wskazujące, komu chciano grozić i kogo dosięgnąć. Widok żołnierzy wywoływał obrazy rzezi, śmierci i żałoby. Mijali domy. Hałas ciągnących szwadronów uderzał o szyby. Wioska leżała w pozornem uśpieniu.

Ani oficerowie, ani żołnierze nic innego zauważyć nie mogli, lecz w niejednym domu zbudziła się matka i cała drżąca zerwała się z pościeli; gdzieindziej znów mężczyzna dawnym zwycięzcom pięścią wygrażał. Bóg jeden tylko znał ten dramat. Przejechali. Gdy już zniknęły na drodze cienie ostatnich szeregów, Janowi zdało się, że jakiś jeździec przystanął koło kraty i patrzył w stronę domu. Czy koń iść nie chciał? Nie — stał spokojnie. Jeźdzcem był oficer, bo jakieś złote naszycia błyszczały mu na mundurze. Stał wyprostowany na siodle, niewątpliwie młody i spoglądał przed siebie. Trwało to zaledwie minutę. Potem pochylił szablę, trzymaną w ręku ostrogami ścisnął wierzchowca i skoczył naprzód.

Gdyby nie szybki galop, w którym oficer dopę

dzał towarzyszów, Jan mógłby sądzić, że uległ przywidzeniu. „Jaki koncept teutoński—pomyślał—pewno sposób okazania, że nasz dom jest w jego guście. Bardzo dziękuję!"

Pułk opuścił już wioskę i wjechał na rozległą płaszczyznę. Senna cisza znów ogarnęła domy. Wiatr szumiał ku zielonym Wogezom, a w oddali z przeciwnej strony, zabrzmiał, niby hymn religijny, śpiew żołnierzy, którzy, dążąc ku Strassburgowi, głosili chwałę ojczyzny niemieckiej.

ROZDZIAŁ II.

B a d a n i a.

Nazajutrz było już dość późno, gdy Jan wyszedł ze swego pokoju na ganek, jak i cały dom, zbudowany z czerwonego kamienia. Po obu stronach ganku znajdowały się szerokie schody, prowadzące do ogrodu.

Młody człowiek ubrany był w swój ulubiony kostyum myśliwski: kamasze z czarnej skóry, kurtka granatowa, kapelusz z miękkiego filcu, z zatkniętym za wstążką piórem głuszca.

— Gdzie mój ojciec?—zapytał ogrodnika, który właśnie grabił główną aleję.

— Pan jest w kantorze—odparł sługa.

Pierwsze wejrzenie Jana, w dal rzucone, oparło się o zielone Wogezy, porośnięte sosnowym lasem; tu i owdzie bieliły się śniegi w zagłębieniach gór, których wierzchołki ginęły w chmurach. Dreszcz radości wstrząsnął duszą młodzieńca; wzrok jego zsunął

się po zboczach niższych, zasadzonych winogradem, potem po łąkach, jak gdyby chciał odświeżyć w swej pamięci wszystkie szczegóły tych miejsc, których tak dawno nie widział, a gdzie teraz zamierzał pozostać na zawsze; wreszcie spojrzał na czerwony dach i kominy tartaku, wzniesionego na skraju posiadłości rodziny Oberlé; na budynek z turbinami, stojący na prawo przy potoku; na skład belek, desek, drzewa i odpadków wszelkiego rodzaju, tworzących za klombami o jakie dwieście kroków od domu piramidy i stosy. Z kominów fabryki wydobywały się do chmur podobne smugi białej pary, a wiatr północny unosił je w dal.

Jan skierował się na lewo przez park, zasadzony niegdyś według planu Filipa Oberlé, a dziś już mocno zapuszczony, okrążył stosy kłód sosnowych i dębowych i zastukał do ostatnich drzwi długiego budynku.

Wszedł do oszklonego pawilonu; tu pracował właściciel fabryki.

W danej chwili przeglądał listy, które dzisiejsza poczta przyniosła. Na widok syna przerwał natychmiast zajęcie i zwrócił się do niego z ruchem dłoni, który zdawał się mówić: „Czekałem na ciebie; siadaj!..."

Odsunął fotel i rzekł:

— No, synu, co mi powiesz?

Pan Józef Oberlé był człowiekiem żwawym, gwałtownego, despotycznego nawet charakteru. Z powodu zgolonych wąsów, krótkich faworytów, pewnego wyszukania w ubiorze, płynności wymowy i zaokrą-

glenia rnchów, brano go często za „ex sądownika francuskiego." Że nim nie był, winne były tylko okoliczności; one to bowiem odsunęły pana Józefa Oberlé od drogi, na którą chętnieby wstąpił, a która doprowadzić go miała do wysokich urzędów, bądź to w sądownictwie, bądź w administracyi. Ojciec jego, protoplasta dynastyi, pan Filip Oberlé, syn chłopa-rolnika z Alsheimu, założył w r. 1860 tartak mechaniczny, który się rozwinął bardzo szybko. Po kilku latach stał się potęgą miejscową, człowiekiem bogatym, wpływowym, kochanym i dbał o tę miłość ludzką, nie przypuszczając, że przyjdzie chwila, w której wpływu swego użyć będzie zmuszony na korzyść Alzacyi. Syn jego, owładnięty prądem drugiego Cesarstwa, musiał pałać ambicyą urzędniczą. Dało mu ją samo wychowanie. Oderwany wcześnie od Alzacyi, osiem lat spędził w liceum Louis-le-Grand, potem wstąpił na wydział prawny; mając lat dwadzieścia dwa, dostał urząd w prefekturze Charenty. W tym czasie wybuchnęła wojna. Przez kilka miesięcy zwierzchnik, przypuszczając, że spełnia w ten sposób życzenia swego przyjaciela, wielkiego przemysłowca z Alsheim, zatrzymał Józefa w biurze, chroniąc go przed niebezpieczeństwami walki orężnej; potem jednak młody Oberlé z własnej chęci zaciągnął się do wojska, odbył wiele marszów, znosił zimno i niewygody życia wojennego. Walczył dzielnie, chociaż rzadko brał udział w starciach. Gdy zawarto pokój, nastąpiła chwila, rozstrzygająca o dalszych losach pana Józefa Oberlé. Gdyby tylko własne upodobania miał

na względzie, byłby został przy Francyi i pracował dalej w zawodzie urzędniczym, bo lubił władzę i mało robił skrupułów co do jakości rozkazów, przechodzących przez jego ręce. Ale ojciec przywoływał go do Alzacyi, błagał, aby nie porzucał kwitnącej fabryki. Mówił doń: „Przyłączenie Alzacyi do Niemiec związało mnie z przemysłem niemieckim. Nie mogę porzucić podstawy mego majątku i twojej przyszłości. Nie cierpię Prusaków, ale trzymać się muszę jedynego środka spędzenia użytecznie mego życia; byłem Francuzem, teraz będę Alzatczykiem. Idź za moim przykładem. Mam nadzieję, że taki stan rzeczy niedługo potrwa."

Józef Oberlé usłuchał ojca, chociaż myśl poddawania się rozkazom zwycięzcy i spędzania życia w głuchej wiosce, ukrytej u stóp Wogezów, przejmowała go wstrętem. Wtedy to popełnił kilka nieostrożności, czego obecnie bardzo żałował; położenie Alzacyi nie zmieniło się, potęga Niemiec wzrosła, a on sam, jako spólnik ojca, uczuł zaciskające się nad nim oka sieci administracyjnej, podobnej niby do francuskiej, lecz o wiele ostrzejszej i kłopotliwszej. Nauczył się z własnego doświadczenia, że w każdej bez wyjątku sprawie wszystkie władze niemieckie: żandarmi, sądownicy, urzędnicy, policya, zarządy kolei żelaznych, dróg wodnych, lasów, komory, słuszność przypisywały sobie. Zła wola, z którą spotykał się wszędzie, we wszystkich stosunkach z administracyą pruską, zwiększyła się jeszcze w r. 1874, zagrażając nawet rozwojowi fabryki. Wtedy bowiem pan Filip

Oberlé, pozostawiając synowi kierownictwo tartaku, uległ prośbom całej okolicy i został rzecznikiem jej spraw, jej głosem w Reichstagu, jednym z opozycyjnych posłów Alzacyi. Te doświadczenia, znużenie, spowodowane ciągłem oczekiwaniem, nieobecność Filipa Oberlé, który większą część roku spędzał w Berlinie, zmieniły znacznie poglądy młodego przemysłowca. W nim i wielu innych ostygał pierwszy zapał. Manifestacye anti-niemieckie chłopów alzackich stawały się coraz rzadsze, coraz ostrożniejsze. Stosunki handlowe z Francyą ustawały, Francuzi nie odwiedzali go nawet w interesach fabrycznych. Francya tak blizko położona, stała się dla Alzacyi krajem niedostępnym, nic już ztamtąd nie dochodziło: ustały wędrówki podróżnych, przerwał się napływ towarów. Dzienniki, które czytał, przekonywały go coraz wyraźniej, że wysokie sfery porzuciły myśl o odwecie, idąc za radą grupy polityków, którzy takie postępowanie chrzcili nazwą mądrości i rozwagi. W przeciągu lat dziesięciu zerwały się w panu Józefie Oberlé wszystkie struny, drgające oporem przeciw nowemu porządkowi rzeczy, przeszedł on do szeregu zrezygnowanych. Małżeństwo z Moniką Biehler, cel gorących pragnień starego, zapalonego patryoty, który w Reichstagu głosował przeciw wnioskom ks. Bismarka, nie powstrzymało pana Józefa na nowej drodze. Poglądy swe trzymał początkowo w tajemnicy, potem ujawnił osobom bliższym, wreszcie przestał się kryć z niemi zupełnie. Niemcom dawał wiele, przebierał nawet miarę. Podmajstrzy fabryki, dawni żołnierze

francuscy, wielbiciele pana Filipa Oberlé i towarzysze jego w walce z germanizacyą, zaczęli sarkać na swego zwierzchnika, ganić jego postępowanie. Jeden z nich w rozdrażnieniu tak się odezwał: „Czy pan sądzisz, że to wielka chluba pracować u takiego, jak pan odstępcy?" Wydalono go. Robotnicy stanęli po stronie pokrzywdzonego, wstawiali się za nim, przyczem zagrozili bezrobociem. „I owszem! — zawołał Oberlé—rad z tego będę. Szalone głowy; oddalę was i zastąpię Niemcami." Robotnicy nie uwierzyli w tę pogróżkę, która wszakże wkrótce stała się faktem, gdy nadszedł nowy kryzys. Pan Józef Oberlé mniej się lękał niesprawiedliwości, niż posądzenia go o słabość charakteru; myślał też, że sam skorzysta, jeśli zastąpi krnąbrnych, buntowniczych Alzatczyków Bawarczykami, o wiele spokojniejszymi i posłuszniejszymi. W ten sposób usunięto przynajmniej trzecią część dawnego personelu fabrycznego.

W północnej stronie, w domach przez Józefa Oberlé wzniesionych, rozłożyła się teraz kolonia niemiecka, a pozostali w fabryce Alzatczycy musieli ustąpić przed argumentem „chleba powszedniego". Działo się to w roku 1882. W parę lat później dowiedziano się, że nowy szef wysłał syna swego, Jana, do Monachium, by tam pobierał nauki. Wywiózł też z domu córkę Lucynę i oddał ją w opiekę pani Mündar, przełożonej najbardziej niemieckiego zakładu w Baden-Baden. Ten fakt silniej od innych poruszył opinię publiczną. Potępiano taki brak poszanowania dla wychowawczyń i wpływów alzackich. Żałowano

powszechnie pani Oberlé, którą mąż tak bezwzględnie rozłączył z dziećmi, szczególniej z córką, jak gdyby się obawiał dla niej wpływu matki. Ale ojciec odpowiadał tym, którzy go ganili:

— Robię to dla dobra dzieci! Zmarnowałem życie, niechże ich przynajmniej ten los nie spotka. Później na zasadzie porównania sami wybiorą swoją drogę. Ale ja nie chcę, by wbrew ich woli, od samego już dzieciństwa byli zapisani, wciągnięci na listę Alzatczyków. — Czasem dodawał: — Nie rozumiecie, że poświęcam się dla moich dzieci, by im tych poświęceń oszczędzić. Ofiary ponoszę i czyż mniej przez to cierpię?

Cierpiał istotnie i to tem silniej, im trudniej mu było zdobyć zaufanie rządu niemieckiego. Za tyle trudów skąpo dawano mu nagrody. Urzędnicy zaczynali wprawdzie pochlebiać panu Józefowi, przyciągać i zapraszać go do siebie; był to łup nie do pogardzenia dla kilku „kreisdyrektorów", którzy już się nim w wyższych sferach chwalili. Ale łupu tego strzeżono pilnie, obsypując jednocześnie zaprosinami i uprzejmością. Oberlé czuł to wahanie się władzy, nieufność zaledwie maskowaną, często wprost brutalnie objawianą przez nowych panów, którym chciał się przypodobać. Czy można było na niego liczyć? Czy istotnie pogodził się z aneksyą; czy nie miał jakiej ukrytej myśli; czy dostatecznie podziwiał gieniusz niemiecki, niemiecką cywilizacyę, przyszłość, handel? Te rzeczy trzeba było podziwiać i to w tak wysokim stopniu.

Odpowiedzi jednak otrzymywano w coraz silniej twierdzącym tonie: Józef Oberlé pragnął, by Jan dostał urząd w sądownictwie niemieckiem, systematycznie odsuwał więc syna od Alzacyi. Po skończeniu kursu nauk średnich w roku 1895 Jan wstąpił do uniwersytetu monachijskiego; potem przeniósł się do Bonn, a wreszcie do Heidelbergu, by zdać ostatnie egzaminy w Berlinie. Praktykował u adwokata berlińskiego, a po długiej podróży wrócił wreszcie na odpoczynek do domu rodzicielskiego, by potem wstąpić do wojska. Zaprawdę, wszystko to przeprowadzono z wielką konsekwencyą. Podczas wakacyi studenckich Jan kilka dni tylko spędzał wśród rodziny, resztę czasu poświęcając podróżom. W ostatnich latach nie zajrzał nawet do Alsheimu.

Władze wątpić przestały, Zresztą zniknęła największa przeszkoda w zbliżeniu się Józefa Oberlé z rządem miejscowym. Stary poseł opozycyjny, dotknięty chorobą nieuleczalną, złożył mandat w roku 1890. Odtąd zaczęły spływać na jego syna obietnice, uśmiechy, łaski dawno pożądane. Pan Józef Oberlé poznał, że duch rządu wszędzie obecny, wcielony w mowie ludzi wszelkiej rangi, nie był mu już wrogim; poznał to po rozwoju swoich interesów, które zaczepiły już o dalsze prowincye niemieckie, po zmniejszonej ilości spraw wytaczanych jego urzędnikom, lub jemu samemu, po uprzejmości, z jaką odnosili się do niego najniżsi urzędnicy, dawniej najbardziej aroganccy, po łatwości, z jaką rozstrzygnięto kilka kwestyj spornych; otrzymywał też dogodne dla siebie

ułatwienia, mógł obchodzić rozporządzenia nciążliwe. Spadały nań jeszcze wyraźniejsze dowody życzliwości. Ostatniej zimy, kiedy ładna, sprytna i powabna Lucynka tańczyła w niemieckich salonach Strassburga, ojciec jej rozmawiał z przedstawicielami państwa. Jeden z nich, prefekt Strassburga, hrabia von Kassewitz, dał mu do zrozumienia, działając niewątpliwie w myśl wyższego rozkazu, że rząd chętnie przyjąłby jego kandydaturę na posła i półurzędowemi środkami popierałby wybór starego opozycyonisty, Taka propozycya napełniła radością serce pana Józefa Oberlé, podnieciła ambicyę tego człowieka, licho we własnem mniemaniu wynagrodzonego za tyle ofiar z miłości własnej, z przyjaźni i pamiątek.

Jego temperament urzędniczy, przygłuszony okolicznościami, nabrał sił nowych, wymagań, ujrzał cel jasno określony. W nim, choć do tego przyznać się nie mógł, znalazł pan Oberlé swoje usprawiedliwienie. Mówił sobie, że dzięki swej energii, swemu lekceważeniu utopii, dzięki jasnemu sądowi. potrafi zdobyć sobie tę przyszłość, ten udział w życiu publicznem, tę rolę, którą dotąd przeznaczał synowi. Taką będzie jego odpowiedź, gdyby kiedykolwiek jakaś wątpliwość stanęła mu w myśli, taki będzie odwet, rzucony tym kilku zaśniedziałym chłopom, którzy udawali, że go nie znają, tym mieszczanom ze Strassburga i z Alsheimu, którzy zaledwie kiwają mu głową, lub nie kłaniają się wcale.

To też powitał syna zupełnie inaczej usposobiony, niż przed kilku laty. Teraz, gdy miał zapewnio-

ną przychylność władz alzacko lotaryńskich, mniej dbał o wypełnienie przez syna programu dawno ułożonego. Jan poparł już ojca, tak jak Lucynka popierała go obecnie; był on jednym z argumentów, jedną z przyczyn długo oczekiwanej zmiany frontu administracyi niemieckiej. W tej chwili współpracownictwo jego było pożyteczne, ale niekonieczne; ojciec, ostrzeżony już kilku zdaniami z ostatnich listów syna, spokojniej znosił tę myśl, że Jan zejdzie z drogi, którą mu od dzieciństwa wskazywano i zrezygnuje z karyery prawniczej. Rozmyślania pana Oberlé, którego sterem życiowym był najczystszy egoizm, przerwał widok Jana, idącego przez ogród ku fabryce.

Pan Oberlé zbudował tu sobie rodzaj klatki, zkąd mógł pilnować wszystkich swoich podwładnych. Z jednego okna widać było cały skład drzewa i pracujących robotników; z drugiego sztab urzędników, z trzeciego zaś ogromną salę, w której różnego rodzaju zębate, świdrujące, heblujące piły i koła pnie krajały, wierciły je i gładziły. Klatka była wyłożona drzewem pomalowanem na kolor blado zielony; lampy elektryczne miały kształt kwiatów; płyta miedziana z guzikami od dzwonków elektrycznych leżała na biurku; telefon, maszyna do pisania, krzesła lekkie biało lakierowane, wszystko to świadczyło o zamiłowaniu gospodarza do barw jasnych, przyrządów wygodnych, przedmiotów pozornie lekkich. Gdy syn wszedł do pokoju, Józef Oberlé zwrócił się ku oknu z widokiem na ogród. Nogę na nogę założył, prawy

łokieć oparł na biurku i z ciekawością przyglądał się synowi.

— Wysoki, ładny chłopiec — i uśmiechał się do niego.

Gdy tak siedział rozparty w fotelu z właściwym sobie uśmiechem ciekawym i jednocześnie imperty-nenckim, z twarzą pełną, okoloną siwiejącemi fawo-rytami, z podniesioną prawą ręką, w której kręcił sznurek od binokli, można było przyznać słuszność tym, którzy widzieli w nim typ dawnego sądownika. Ale oczy teraz skutkiem silnego światła trochę zmru-żone były tak żywe, że już po nich tylko można było poznać człowieka czynu. One kłam zadawały sztu-cznemu uśmiechowi ust. Nie było na nich ciekawo-ści mędrca, światowca, lub ojca, te oczy szukały po-prostu drogi, jak jej szuka sternik okrętowy. Zale-dwie pan Oberlé zapytał:

— Co mi powiesz? — wnet dodał: — Rozma-wiałeś dziś z matką?

— Nie.

— A z Lucynką?

— Wcale nie. Dopiero co wyszedłem z mego pokoju.

— Tem lepiej. Powinniśmy sami ułożyć nasze plany; wmieszanie się innych, jest tu rzeczą zupełnie zbyteczną. Pozwoliłem ci wrócić i zabawić w domu właśnie w celu omówienia twej przyszłości. Naj-pierw służba wojskowa w październiku, nieprawdaż— z naciskiem wyrzekł te słowa — z zamiarem stano-wczym uzyskania stopnia oficera rezerwy...

Jan siedział wyprostowany, nieruchomy, z powagą we wzroku, z tą śliczną powagą młodzieńca, mówiącego o własnej przyszłości, kiedy się każde słowo wypowiada z niezwykłym dotąd namysłem i rozwagą.

— Tak ojcze — odparł — mam ten zamiar.

— Więc punkt pierwszy już zredagowany. A potem? Zwiedziłeś kawał świata, Poznałeś naród, wśród którego żyć będziesz. Wiesz także, że w ciągu lat ostatnich zwiększyły się szanse twego powodzenia w sądownictwie niemieckiem, znacznie bowiem polepszyło się moje położenie w Alzacyi.

— Wiem o tem.

— Wiesz także, że ani na chwilę nie odstąpiłem od zamiaru zapewnienia ci tej karyery; sam byłbym jej życie moje poświęcił, gdyby nie okoliczności od mojej woli silniejsze.

Te słowa zdawały się tak podniecać w nim siłę woli, że wlepił w syna wzrok nakazujący, despotyczny, niby szpony ostre, które nie puszczają ofiary; przestał bawić się binoklami i wyrzekł szybko:

— W twoich listach wyczytałem jakieś wahanie. Odpowiedz! Będziesz sądownikiem?

Jan lekko pobladł, odpowiadając:

— Nie.

Ojciec pochylił się naprzód, jak gdyby chciał powstać i zapytał nie odwracając oczu od tego syna, którego siłą moralną miał zgłębić.

— Więc zostaniesz urzędnikiem?

— Nie. Urzędów nie pragnę.

— A twoje nauki?

— Niepotrzebne!

— Bo...

— Bo nie mam w sobie niemieckiego ducha — odparł, panując usilnie nad brzmieniem głosu.

Takiej odpowiedzi nie spodziewał się pan Józef Oberlé. Był to opór, Zerwał się z miejsca i zwrócił instynktownie oczy w stronę hali, by przekonać się, czy nikt ich rozmowy nie podsłuchał i nie domyślił się słów tu wypowiedzianych. Zetknął się z obojętnym wzrokiem kilku robotników, którzy sądząc, że uwaga właściciela skierowana jest na nich, zwrócili oczy na robotę.

Pan Oberlé znów spojrzał na syna. Ogarnęło go wzburzenie gwałtowne. Zrozumiał jednak, że okazywać go nie należało. Lękając się, by nie zdradzały go ruchy ręki, obie dłonie oparł na poręczach fotelu i wciąż pochylony mierzył wzrokiem Jana; przyglądał się postawie, ubiorowi, rysom tego syna, który wypowiadał poważne zdania, prawie potępiające postępowanie ojca. Po chwili odezwał się zdławionym głosem.

— Kto cię przeciwko mnie zbuntował? Twoja matka?

— Ależ nikt!—żywo zaprzeczył młody Oberlé.— Ja nic ojcu nie zarzucam. Zkąd taki szczególny punkt widzenia! Ja tylko mówię, że nie mam w sobie niemieckiego ducha. Jestto wynik długoletnich porównań. Nic więcej.

Pan Józef Oberlé zmiarkował, że powiedział

za wiele. Zamknął się w sobie i mówił dalej z chłodną ironią, którą maskował zwykle swoje rzeczywiste uczucia:

— A więc skoro odrzucasz karyerę, którą ci przeznaczyłem. wybrałeś zapewne inną.

— Naturalnie, o ile się na nią zgodzisz, ojcze.

— Jakąż to?

— Twoją własną. Muszę ci to, ojcze, jasno wytłómaczyć. Przez lat dziesięć żyłem w zgodzie ze środowiskiem czysto niemieckiem. Wiem ile mnie to kosztowało. Chcesz wiedzieć, ojcze, jaki był skutek takiego doświadczenia? Oto, widzę, że mam w charakterze za mało giętkości, zamało zdolności przystosowywania się, by zostać urzędnikiem niemieckim. Jestem pewny, że wielu rzeczy nie zrozumiałbym dostatecznie i że czasem oparłbym się rozkazom. Postanowienia mojego nic zmienić nie zdoła. A twój przemysł, ojcze, podoba mi się.

— Wyobrażasz sobie, że przemysłowiec jest niezależny?

— Nie, ale ma więcej niezależności od innych. Uczyłem się prawa, bo nie chciałem bez zastanowienia opuścić drogi, na którą mnie wprowadziłeś. Skorzystałem też z podróży przez ciebie zalecanych.

— Możesz powiedzieć, nakazanych; tak było i powiem ci ich przyczynę.

— Skorzystałem z nich, badając przemysł leśny wszędzie, gdzie mogłem to uczynić w Niemczech, w Austryi, na Kaukazie. Obeznałem się z twoją spe-

cyalnością lepiej, niż przypuszczasz, ojcze. Pragnę pozostać w Alzacyi. Czy pozwolisz na to?

Ojciec przez chwilę milczał. Chciał wypróbować syna i posługiwał się tu systemem, którego zwykle używał, kiedy chodziło o sprawy ważne. Milczał, gdy żądano od niego stanowczej odpowiedzi. Jeżeli pytający mieszał zię, odwracał oczy od tego wzroku, który jak ołów ciążyć się nad nim zdawał i jeżeli pytanie w innej formie powtarzał, pan Józef Oberlé zaliczał swego interlokutora do rzędu ludzi słabych, niższych od niego.

Jan zniósł spokojnie wzrok ojca i ust nie otworzył. Tem pochlebił ojcu, który zrozumiał, że stsl przed nim człowiek pewny siebie i może niezłomny. Znał już podobnych ludzi. Oceniał w głębi ducha ich zalety i lękał się ich. Z właściwą sobie szybkością kombinowania ujrzał Jana szefem fabryki w Alshaimie, a jego ojca Józefa Oberlé zasiadającego w Reichstagu w otoczeniu finansistów i wyższych urzędniczych potęg świata niemieckiego. Należał do tego gatunku ludzi, którzy umieją ciągnąć korzyści z zawodów, jak można, naprzykład, zużytkowywać odpadki fabryczne. Rozrzewnił go ten obraz. Nie uniósł się, przeciwnie, z jego twarzy znikła maska ironii. Ruchem ręki wskazał na ogromną halę; tam z nieustannem warczeniem, od którego drżały lekko szyby, wrzynały się stalowe zęby w odwieczne drzewa Wogezów, i rzekł tonem prawie żartobliwej nagany:

— Niech i tak będzie, moje dziecko! Uradujesz mnie, swoją matkę i Ulrycha. Pozwalam ci sta-

nąć z nimi przeciwko mnie, ale tylko w tej jednej kwestyi. Przed kilku laty nie pozwoliłbym ci porzucać karyery, usuwającej z naszej drogi przeszkody, trudności, o których nie możesz mieć jeszcze pojęcia. Wtedy nie byłeś w stanie rozporządzać własną przyszłością. Moje położenie było zbyt uciążliwe i niebezpieczne, bym ciebie także chciał w nie stawiać. Dzisiaj wszystko to się już zmieniło. Interesy fabryki rozwinęły się. Mamy życie możliwe, dzięki usiłowaniom moim, a nawet poświęceniom, za które jednak nie widzę dokoła siebie wdzięczności. Dzisiaj, przyznaję, możemy liczyć na przyszłość. Chcesz być moim następcą? Już nim jesteś. Do chwili wstąpienia do wojska przez siedem miesięcy będziesz u mnie praktykantem, ale pod jednym warunkiem...

— Jakim?

— Nie będziesz się zajmował polityką...

— Nie mam też wcale do tego ochoty.

— Przepraszam cię — dodał pan Oberlé z nagłem ożywieniem — musimy się dokładnie pod tym względem porozumieć. Nie masz dla siebie ambicyi politycznych, rozumiem cię, jesteś na to za młody, a może nie ma w tobie nawet materyału na polityka. Nie to miałem na myśli... zabraniam ci się bawić w szowinizm alzacki; przy każdej sposobności wykrzykiwać, jak tylu innych: „Francya! Francya!" nosić pod kamizelką trójkolorowe pasy, naśladować studentów alzackich w Strassburgu, którzy porozumiewają się z sobą pod nosem policyi, gwiżdżąc Marsyliankę. Nie chcę słyszeć o tych sposobikach, o tych mikro-

skopijnych buntach i jednocześnie wielkich niebezpieczeństwach. Nam przemysłowcom, pracującym w kraju niemieckim, nie wolno brać udziału w takich manifestacyach. Stoją one w sprzeczności z naszemi interesami, z naszą pracą, bo nie Francya u nas kupuje. Francya, mój drogi, daleko, rzekłbyś, że o tysiąc mil daleko, tak mało tu o niej wiemy, tak mało pieniędzy z niej płynie. Pamiętaj o tem! Jesteś z własnej woli przemysłowcem niemieckim, jeżeli odwrócisz się od Niemców, zginąłeś! Myśl sobie, co chcesz o dziejach swego kraju, o jego przeszłości i stanie obecnym. Nie znam twoich opinij pod tym względem i nie wiem, jakiemi będą w tak zacofanem środowisku, jak nasze, tu w Alsheimie; ale cokolwiek kryłbyś w głębi duszy, umiej milczeć, albo też szukaj pracy gdzieindziej.

Uśmiech zaigrał pod wąsem Jana, choć górna część twarzy pozostała surową i poważną.

— Zapewne chciałbyś wiedzieć, ojcze, co myślę o Francyi?

— No?

— Kocham ją.

— Ale jej nie znasz!

— Znam jej dzieje, jej literaturę i porównywałem, oto wszystko, ale i to wystarcza, należąc do jednej rasy, odgaduje się tyle rzeczy. Po za tem nie znam jej, to prawda... Byłeś tak ostrożnym, ojcze.

— Tak jest! Chociaż w twoich słowach kryć się może jakaś intencya obrażająca.

— Broń Boże!

— Tak, byłem ostrożnym, bo chciałem wyzwo-

lić ciebie i twoją siostrę z pod wpływu tego nieszczęsnego ducha oporu, który mógł tylko zjałowić wam życie, uczynić z was ludzi niezdolnych, bezsilnych biedaków, od których roi się Alzacya i którzy nie przynoszą korzyści ani Francyi, ani Alzacyi, ani sobie samym, dostarczając wiecznie Niemcom powodów do gniewu. Rad jestem, że mogę pomówić z tobą o moim systemie waszego wychowania, bo ja jeden je przeprowadziłem. Chciałem wam oszczędzić tego, przez co sam przeszedłem—zmarnowania życia. Był jeszcze wzgląd inny. Ach, wiem dobrze, że nikt mi słuszności nie przyznał. We własnej rodzinie sam siebie chwalić muszę. Moje dziecko, kto wychował się we Francyi i do niej pochodzeniem należy, ten musi pokochać kulturę francuską...

Tu urwał, chcąc zmiarkować, jakie wrażenie wywołało to zdanie. I nic nie dojrzał, ani jednego drgnienia na twarzy niewzruszonej syna, który istotnie musiał być człowiekiem niewzruszonej siły duchowej. Niezwyciężona potrzeba usprawiedliwienia się w jego oczach kazała panu Józefowi Oberlé mówić dalej:

— Wiesz dobrze, Janie, że język francuski jest tu źle widziany. W Bawsryi otrzymałeś wykształcenie literackie, historyczne, lepsze od tego, które mógłbym ci dać w Strasburgu. Mogłem ci także zamówić lekcye prywatne języka francuskiego, nie szkodząc ci w opinii twoich nauczycielów. Tymczasem w Alzacyi szkodziłoby to mnie i tobie. Oto przyczyny, które mną kierowały. Doświadczenie powie ci, że mia-

łem słuszność. Postępowałem tak w dobrej wierze i dla twego dobra.

— Kochany ojcze — przemówił Jan — nie przyznaję sobie prawa wydawania sądu o twem postępowaniu. Mogę tylko to powiedzieć, że dzięki wychowaniu memu, jeśli nie zachwycam się, nie przejmuję nadmiernie cywilizacyą niemiecką, umiem żyć wśród Niemców i pewny jestem, że potrafię żyć wśród nich w Alzacyi.

Ojciec ściągnął brwi, jak gdyby chciał powiedzieć: „Kto to wie?"

— Pomimo moich poglądów, wrogów w Niemcach nie miałem i zdaje mi się, że moje przekonania pozwalają mi kierować fabryką w kraju zabranym.

— I ja tak sądzę—odparł krótko pan Oberlé.

— Więc przyjmujesz mnie, ojcze? Znajdę u ciebie zajęcie?

W odpowiedzi szef nacisnął jeden z guzików od dzwonków elektrycznych.

Jakiś człowiek wszedł na stopnie, wiodące z hali do obserwatoryum właściciela, uchylił drzwi, wsuwając do pokoju jasnowłosą głowę, długą, kwadratową brodę i oczy do dwóch błękitnych kamyków podobne.

— Wilhelmie!—odezwał się Oberlé po niemiecku. — Zaznajomisz mego syna z naszą robotą, pokażesz mu zakupy z ostatniego półrocza. Od jutra mój syn towarzyszyć ci będzie w zwiedzaniu poręb dla nas wycinanych.

Drzwi się zamknęły.

Jan Oberlé zgrabny, młody, pełen zapału, stał teraz przed ojcem. Wyciągnął do niego rękę i rzekł blady z radości:

— Więc znów mam moje miejsce w Alzacyi. Jakże ci dziękuję, ojcze!

Ojciec uścisnął rękę syna z robionym entuzyazmem. W duchu myślał:

— Wykapany obraz matki, słowa, duch, zapał Moniki!

Głośno zaś mówił:

— Widzisz więc, moje dziecko, że wasze szczęście jest moim jedynym celem. Innego nie miałem. Obierasz inny zawód, niż ten, o którym dla ciebie marzyłem. Staraj się teraz zrozumieć nasze położenie, jak zrozumiała je twoja siostra...

Jan wyszedł. a w kilka chwil po nim ojciec opuścił kantor.

Pan Józef Oberlé poszedł w stronę domu, chcąc jak najprędzej zobaczyć się z córką, jedyną powiernicą jego myśli i opowiedzieć jej o tem, co zaszło.

Jan tymczasem minął skład drzewa, kierując się ukośnie ku bramie wejściowej i dążąc w stronę lasu; daleko iść nie mógł z powodu zbliżającej się pory śniadania. Doszedł do pasa winnic Alsheimu, przecinając pola, pod uprawę chmielu przeznaczone, dziś jeszcze nagie, na których tu i owdzie sterczały zapasy tyk w wiązki zebranych. Niezmierna radość przejmowała mu duszę. Kiedy doszedł do winnicy, znanej mu od dzieciństwa, kiedy jeszcze winobranie

cieszyło go tak ogromnie, wbiegł na pagórek przydrożny i mimo pochmurnego dnia, pomimo wichru wydała mu się piękną, bardzo piękną ta Alzacya, roztaczająca przed nim łagodne stoki gładkiej płaszczyzny, a na nich pasma traw i ornych gruntów, z których strzelały w górę czerwone dachy wiosek i wieżyczki dzwonnic. Odosobnione, nagie drzewa, o liniach kolistych, przypominały suche osty.

Kilka wron przelatywało nad polami, szukając nowych zasiewów. Jan wyciągnął ręce, jakby chciał przycisnąć do piersi całą przestrzeń na lewo od Obernai aż do Barru, napół zakrytego rzędami sosen.

— Kocham cię, Alzacyo, i wracam do ciebie — wyrzekł.

Popatrzył na Alsheim, na czerwony dom rodzinny, wznoszący się ponad innymi, a potem skierował wzrok na przeciwny koniec wioski; wrzynał się on w kształcie przylądka, zarośniętego drzewami, w płaską przestrzeń. Była tam aleja, wiodąca do wielkiej grupy drzew, obecnie czarnych, między któremi widniała część jakiegoś dachu. Jan długo wpatrywał się w ten budynek i dodał:

— Witaj, alzacka dziewczyno! Może pokocham cię, tak dobrze byłoby żyć tu razem z tobą.

Do uszu jego dobiegł słaby, stłumiony głos dzwonu, wzywającego rodzinę Oberlé na śniadanie. Dolatujące dźwięki zmieszane były z szumem wiatru, który je roznosił po polach Alzacyi.

ROZDZIAŁ III.

Pierwsze zebranie rodziny.

Jan zwolna zawrócił w stronę, z której go dochodziły dźwięki dzwonu. Wszystko radowało go w tej chwili. Znów obejmował w posiadanie ten świat, powtórnie dla niego po tylu latach otwarty, ten świat, w którym miał się osiedlić, pracować i może zaznać szczęścia. Wyrazy te rozkosznie rozbrzmiewały w jego umyśle; szły i goniły się, jak gromada delfinów po powierzchni morza, a do nich przyłączały się inne: życie rodzinne, wygoda, stanowisko społeczne, upiększenia, zmiany. Dom swój nazywał domem ojcowskim. Patrzył na niego z czułością, wracając drogą, wiodącą wzdłuż potoku; z pewnem poszanowaniem stąpał po schodach ganku, gdy przypomniał sobie, że stawiał go dziadek, do dziś dnia właściciel całej posiadłości, oprócz składu drzew i fabryki. Wszedł do sieni, przecinającej cały dom i otworzył ostatnie drzwi na lewo.

Tylko jadalnia odnowiona była według gustu i wskazówek pana Józefa Oberlé. W salonie, jak we wszystkich zresztą pokojach, stały meble przez dziadka jeszcze zakupione, mahonie pokryte żółtym i zielonym utrechtem. Pomysł pana Józefa Oberlé odznaczał się brakiem linii. Styl zaś zastępowała barwa. Ściany pokryte były do połowy drzewem w żyłki szaro-niebieskie, szaro-lila, tu i tam szaro-różowe i szaro-popielate. Powyżej aż do belkowania sufitu rozpięte były cztery makaty, zdobne w desenie kwiatowe, ułożone z kosańców, róż i werbeny. Wszędzie, o ile to było możliwem, pominięto, nie wiadomo dla czego, proste linie. Oddrzwia tworzyły krzywizny, niby liany. Futryny falowały. Krzesła z giętego drzewa pochodziły z Wiednia. Całość nie posiadała żadnego stylu, ale miała pewien wdzięk barwy i delikatnego naśladownictwa świata roślinnego. Jadalnia przeznaczona, rzekłbyś, dla szczęśliwej, młodej pary.

Ta czwórka ludzi, która się tu zwykle zgromadzała, nie miała nic wspólnego z takim radosnym obrazem, nie było harmonii między nimi a dekoracyą sali. Siadali niezmiennie, każdy na tem samem miejscu, około kwadratowego stołu według powinowactw i antypatyj głębokich.

Po lewej stronie bliżej okna, z którego padało najwięcej światła, siedziała pani Monika Oberlé. Wysoka, szczupła, z twarzą niegdyś świeżą i pełną, dziś zmiętą i bladą, sprawiała wrażenie istoty nawykłej do słyszenia jednego zdania: „Mylisz się.” Oczami

krótkowidza muskała przedstawione sobie osoby z uśmiechem, który umiał szybko cofać się i znikać. Oczy jej wtedy tylko na kimś spoczywały, jeśli nic ich nie odepchnęło lub nie zraziło. I w takich chwilach przebijał się w nich umysł jasny, serce niezmiernie dobre, trochę smutne i zdziczałe, ale jeszcze do złudzeń i porywów młodości zdolne. Dzieciństwo jej, wszelkich trosk pozbawione, przygotowało ją jaknajgorzej do późniejszego życia. Nazywała się wówczas Moniką Biehler, należała do starej rodziny Biehlerów z Obernai. Z wyżyn rodzinnego domu, który wznosił się nad wałami miasteczka, patrzyła na ogromną płaszczyznę alzacką. Ogród, pełen strzyżonych bukszpanów, grusz i głogów, w którym dzieckiem biegała, jedną tylko kratą oddzielony był od miejsca spacerowego w Obernai, znajdującego się obok wałów. Widoki Alzacyi wpijały się codzień w jej duszę dziecięcą, obudzając miłość dla tej krainy, wówczas tak szczęśliwej, dla jej piękności, spokoju, swobody, dla jej wiosek, niby różane grona rozsypanych wśród łanów. Wiedziała dokładnie ich nazwy. Monika Biehler nic więcej nie znała.

Razem z całą rodziną wyjeżdżała z Obernai na dwa miesiące do Heidenbruchu, położonego w lesie św. Otylii. Raz jeden tylko przebyła Wogezy, aby odbyć pielgrzymkę do Domremy, na rok przed swem zamążpójściem. Były to trzy dni zachwytu! Te trzy dni pozostały w pamięci pani Oberlé, jako najwyższa, najczystsza radość jej życia. Nazywała je: „moją podróżą do Francyi!"

Cichy tryb życia w Alsheimie sprawił, że łatwo było ją spłoszyć, dzięki niemu jednak dotąd zachowała prostą naiwność pierwszej młodości, szczerość, głębię cichego, młodocianego ukochania kraju i swoich ludzi. Z tego powodu silniej niż ktokolwiek inny na jej miejscu cierpiała, widząc, że jej mąż zbliża się coraz więcej do stronnictwa niemieckiego, wreszcie przystaje do niego zupełnie.

Cierpiała jako Alzatka, a więcej jeszcze jako matka. Dla tych samych powodów, które odsuwały ją od męża, oddalono od niej dzieci. Zmarszczkom, żłobiącym jej twarz przedwcześnie zwiędłą, można było dać nazwy bólów, z których powstały: zmarszczka dobroci wzgardzonej, zmarszczka zabiegów daremnych, ojczyzny zelżonej, rozłączenia z Janem i Lucynką, bezpożyteczności całego skarbu uczucia, które zgromadziło w niej życie dziewczęce i kobiece.

Pani Oberlé tem większą czuła gorycz, że odgadywała doskonale powody postępowania męża. On o tem wiedział. Upokarzał go ten świadek, któremu wcale nie zdołał zaimponować, a który go zmuszał do szacunku. Żona uosobiała dla niego to wszystko, co porzucił, ją miał na myśli, gdy usprawiedliwiał się ze swego postępowania—a czynił to przy każdej sposobności — przeciw niemej naganie żony wrzał gniewem. W sprawie zniemczenia Alzacyi nigdy przez lat dwadzieścia nie potrafił wydobyć z niej jednego słowa przyzwolenia. Ta nieśmiała istota ulegała sile, ale przekonań jej nikt ugiąć nie zdołał. Mąż wprowadzał ją do niemieckich domów, lecz zachowywała

się w nich z taką godnością, że każdy poznawał kierujące nią pobudki i żalu do niej mieć nie mógł. W ten sposób nietylko samych pozorów broniła; chociaż odebrano jej dzieci, nie rozłączyła się z mężem, ciągle mieli z sobą zajścia, czasem milczące z jednej strony, czasem obustronnie gwałtowne. Jednak pani Oberlé rozumiała, że mąż nienawidził w niej tylko przenikliwości i sposobu patrzenia na rzeczy. Miała nadzieję, że i jej kiedykolwiek słuszność przyznają. Myślała, że teraz, gdy dzieci dorosły, trzeba będzie powziąć ważne postanowienia co do ich przyszłości; może więc cierpliwością niewyczerpaną i licznemi ustępstwami uzyska wreszcie prawo głosu decydującego.

Przy niej, po prawej stronie stołu, siadywał zawsze pan Filip Oberlé. Od kilku lat na pięć minut przed podaniem posiłku starzec wchodził do jadalni, prowadzony przez lokaja, trzymając się, o ile mógł, prosto; ubierał się zawsze w długi, ciemny tużurek. z czerwoną wstążką orderową; głowę miał pochyloną, prawie przymknięte powieki, twarz nabrzmiałą i bezkrwistą. Siadał na wyścielanym fotelu, z wysokiemi poręczami; lokaj zawiązywał mu serwetę; starzec siedział z głową o poręcz opartą, położywszy na stole ręce, jakby z wosku ulepione, na których rysowały się błękitne żyły. Pan Józef Oberlé podawał mu rękę, Lucynka całowała go, rzucając mu kilka zdań wesołych, głośno wypowiedzianych; pani Oberlé nachylała się nad jego czołem i składała na niem pocałunek ust wiernych. Dziękował jej wzrokiem, gdy

siadała koło niego. Potem on i ona żegnali się znakiem krzyża, jak prawe dzieci starej pobożnej Alzacyi. Jadł pomału, z trudnością, poruszając osłabione ścięgna mięśni, a ona w milczeniu czuwała nad nim miłosiernie; gusta jego znała, osłaniała niezręczność, której się wstydził, przewidywała życzenia. Zadumana głowa spoczywała na oparciu fotela. W niej skupiało się życie starca. Przez nią przesuwały się postaci ojców tych ludzi, o których dziś przy nim mówiono. Milczał, ale pamiętał. Czasem wyjmował z kieszeni tabliczkę szyfrową, drżącą ręką kreślił na niej słów kilka i podawał je do przeczytania pani Monice: jakieś sprostowanie, datę zapomnianą, przyzwolenie, odmowę, czy zaprzeczenie zdania usłyszanego. Jeżeli go coś zajęło, albo wzruszyło, poznać to było najłatwiej po ruchu ociężałych powiek. Ruch trwał krótko. Życie zapadało znów w głąb ciemnicy, której kratami wstrząsnąć zapragnął. Znów noc ogarniała jego myśli, brakło mu już siły do ich ujawnienia.

Widok ten ruiny człowieka, tego milczącego bólu ciążył nad członkami całej rodziny, pomimo, że codzień na niego patrzyli. Mniejsze wrażenie sprawiał na obcych, którzy od czasu do czasu zasiadali przy stole rodziny Oberlé, bo wtedy dziadek nie próbował nawet odsłonić duszących go całunów śmiertelnego mroku. Syn przedstawiał ojcu swych gości aż do dnia, w którym starzec wypisał życzenie: „Nie przedstawiajcie mi nikogo, szczególniej Niemców; niech mi się ukłonią—to wystarczy.”

Pan Józef Oberlé sumiennie jednak zdawał ojcu sprawę z interesów fabrycznych i był to wzruszający postępek synowski, jeżeli weźmiemy pod uwagę egoizm tego człowieka; i każdego wieczora po obiedzie, gdy palili cygara, a kobiety już wstały od stołu, szef firmy powtarzał ojcu treść odebranych listów, wymieniał ilość odstawionego towaru, kupna drzewa. Chociaż pan Filip Oberlé miał tylko swój udział w fabryce, ulegał złudzeniu, że częściowo nią kieruje, że zachował głos doradczy. Słuchał o klonach, sosnach, jodłach, dębach i bukach, których wonią przez lat pięćdziesiąt oddychał. Bardzo dbał o te wieczorne narady, jako o jedyną chwilę w dniu, w której zdawało mu się, że jeszcze jakąś rolę w życiu odgrywa. Po za tym cieniem był tylko duszą milczącą i przytomną, sądzącą sprawy domowe, chociaż niezmiernie rzadko głoszącą swoje wyroki. Na jednym zasadniczym punkcie syn nie zgadzał się z ojcem; pan Józef Oberlé mógł udawać, że w rozmowie zwraca się tylko do żony lub córki, mógł udawać, że nie widzi palców, niecierpliwie poruszanych, lub piszących do pani Moniki, miał jednak odwagę poruszania spraw bolesnych.

Jak wszyscy ludzie, którzy musieli powziąć w życiu jakieś ważne postanowienia i nie uczynili tego bez wyrzutów sumienia, powracał on nieustannie do kwestyi zniemczenia Alzacyi. Wszystko mu ją na myśl przywodziło: pochwały, nagany, wiadomości bieżące, wypadki polityczne, zamieszczone w dzienniku porannym, jakaś karta wizytowa, zamówienia desek,

nadeszłe z Hanoweru lub Drezna, życzenia córki wzięcia udziału w jakiejś zabawie. Musiał sam siebie chwalić, jak ci zwyciężeni wodzowie, którzy koniecznie muszą opisywać bitwę i objaśniać, tłómaczyć, dlaczego tak a nie inaczej postąpili. Wszystkie swoje zasoby umysłowe, a miał ich sporo, zużytkowywał w celu obrony kwestyi, jakoby dawno rozstrzygniętej i która nie wywoływała już żadnej dysksyi ani z ojcem, ani z żoną na milczenie zdecydowaną.

Jedna Lucynka podzielała zdanie ojca i podtrzymywała go często. Czyniła to z całą bezwzględnością młodych, sądzących bez skrupułu żale ojców, pamiątki i cały urok przeszłości, które tylko rozsądkiem mierzyć trzeba.

Miała lat dwadzieścia, wiele pychy i dobroduszności jednocześnie, naiwną wiarę w siebie, naturę gwałtowną, wreszcie sławę piękności, na co w połowie tylko zasługiwała. Wysmukła, jak pani Monika, wysoka i dobrze zbudowana, odziedziczyła po ojcu rysy szerokie, alzackie i pewną skłonność do tycia. Lucynka Oberlé na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie raczej młodej kobiety, niż młodej dziewczyny. Twarz miała niezmiernie ruchliwą i szczerą w wyrazie. Gdy przysłuchiwała się rozmowom, jej oczy zielone, mniejsze i jaśniejsze od Jana, i usta ostre w uśmiechu zdawały się powtarzać słyszane wyrazy i myśl jej własną zdradzały. Rzadko marzyła. Inny jeszcze urok, oprócz żywości umysłu tłómaczył jej powodzenie w świecie. Oto niezrównana świeżość cery, purpura ust i wspaniałe jasne włosy, z prze-

błyskami roztopionej miedzi, a tak długie, tak ciężkie, że wysuwały się z nich szpilki, ściągały w tył czoło, rzucając na niego jasną aureolę, wcinały w kark, pokrywając go refleksami złota i całej głowie nadawały charakter pogańskiej dumnej bogini.

Wuj Ulrych żartował z niej nieraz:

— Kiedy ciebie całuję, zdaje mi się, że pocałowałem brzoskwinię.

Chód miała zgrabny; pływała doskonale, a dzienniki z Baden-Badeu często wymieniały jej litery, wyliczając najlepsze łyżwiarki.

To wykształcenie fizyczne oddalało ją od matki, która niegdyś lubiła tylko długie spacery, a teraz prowadziła życie siedzące.

Istniały wszakże przyczyny głębsze i ważniejsze ich rozłąki nieodwołalnej. Częściowo winne tu było wychowanie niemieckie Lucynki, o wiele bardziej pedanckie, bardziej wszeshstronne naukowo i znacznie mniej religijne od wychowania pani Moniki, która kształciła się najpierw w Obernai, a potem w klasztorze Notre-Dame w Strasburgu. Głównie jednak dzieliły je stosunki i środowisko. Lucynka ambitna, jak jej ojciec, jak on żądna powodzenia, wyrwana z pod wpływu matki, przez lat siedem zostając pod wpływem nauczycielek Niemek, bywając w domach niemieckich, otoczona koleżankami Niemkami, wszędzie chętnie widziana tak dla przymiotów własnych, jak i dla względów politycznych i instynktownego apostolstwa niemczyzny, nabrała cech umy-

słowych dawnej Alzacyi. Po powrocie do domu nie rozmawiała wcale o przeszłości swego narodu, swojej rodziny. Ci, którzy bronili dawnego stanu rzeczy, którzy go żałowali, jak jej dziadek, matka, wuj Ulrych, byli poprostu, według niej, przedstawicielami epoki bezpowrotnie minionej, przekonań pozbawionych sensu i pożytku. Natychmiast też stanęła po stronie ojca przeciw tamtym i nad tem cierpiała. Ciężko jej było mieć we własnej rodzinie osoby, które politowanie wzbudzić mogły wśród jej dawnych koleżanek, w domach niemieckich w Baden-Baden i w Strasburgu. Od dwóch lat żyła w atmosferze ciągłych sprzeczności. Jej uczucia rodzinne walczyły z sobą, dla matki naprzykład wielką miała czułość, a jednocześnie litowała się nad nią z powodu jej poglądów. Brakowało jej też powierników.

Czy będzie mogła zaufać Janowi? Obcym był prawie dla niej, tęskniącej do przywiązania, rozdrażnionej walką rodzinną; miała nadzieję, że brat stanie po jej stronie, że znajdzie w nim podporę, dowód słuszności swojej; to też pragnęła i lękała się powrotu Jana. Ojciec powtórzył jej rozmowę z synem, a ona odpowiedziała krzykiem nieledwie: „Dziękuję ci ojcze, że mi dajesz brata."

Cała rodzina siedziała już przy stole, gdy Jan wszedł do pokoju. Obie kobiety siedzące naprzeciw w świetle okna, zwróciły ku niemu głowę, jedna łagodnym ruchem, mówiąc w uśmiechu: „Pysznię się tym synem!" druga rozpostarta w krześle, rozchyliła usta, a oczy jej wyrażały taką czułość, jak gdyby wi-

tała narzeczonego; zawołała też głośno: „Usiądź tu przy mnie. Patrz jak wystroiłam się dla ciebie!" a cichutko dodała, całując go: „Jakto miło mieć kogoś młodego przy sobie!" Istotnie wyglądała ślicznie w staniku z lila różowego jedwabiu, przybranym białemi wstawkami. Ze szczerą radością patrzała na tego brata, któremu nie miała jeszcze czasu przypatrzeć się wczoraj należycie. Jan podziękował jej wesołem, braterskiem spojrzeniem i usiadł przy sole między nią a matką. Rozkładał właśnie serwotę, a Wiktor, lokaj, wiecznie przerażony obawą popełnienia jakiejś niezręczności, podchodził do niego z półmiskiem, nad którym jaśniała twarz pucołowata i naiwne oczy, gdy pan Józef Oberlé odezwał się, gładząc siwe faworyty:

— Ojcze kochany, Moniko i Lucynko, widzicie tu obecnego Jana Oberlé; otóż podzielę się z wami nowiną, która jego głównie dotyczy. Pozwoliłem mu stale zamieszkać w Alsheimie. Będzie z niego przemysłowiec.

Trzy oblicza pokraśniały jednocześnie, Wiktor nawet przystanął, trzymając w ręku wzniesiony półmisek.

— Doprawdy — zawołała Lucynka z udanem zdziwieniem, bo nie chciała, by matka domyśliła się, że ona już wie o postanowieniu ojca. — Nie będzie już zdawał ostatecznych egzaminów?

— Nie.

— I po powrocie z wojska zostanie z nami na zawsze?

— Tak, na zawsze z nami.

Druga chwila wzruszenia jest często silniejsza od pierwszej. Powieki Lucynki zadrgały i zwilgotniały. Śmiała się jednocześnie, a na jej ponsowe usta cisnęły się czułe słowa:

— Ach!—zawołała—jak to dobrze! Może nie najlepiej dla ciebie, Janku, ale dla nas wszystkich to szczęście!

Ładną była w tej chwili, gdy nachyliła się w stronę brata, przejęta szczerze radością.

— Dziękuję ci, Józefie — odezwała się pani Oberlé, poważnym wzrokiem wpatrując się w męża, jak gdyby chciała zbadać przyczyny takiej zmiany planów—dziękuję ci, nie ośmieliłabym się nawet prosić cię o to.

— Widzisz, moja droga — odparł mąż skłaniając przed nią głowę — ja zawsze zgadzam się z zamiarami rozsądnemi. Zresztą z podziękowaniem spotykam się tak rzadko, że sprawia mi ono przyjemność rzetelną... Dzisiaj rozmówiłem się z Janem. Jutro mój pomocnik zacznie oprowadzać go po naszych lasach. Jak wiecie, ja czasu nigdy nie tracę.

Dziadek wyciągnął ku pani Oberlé drżącą rękę; ona wyjęła z niej tabliczkę i przeczytała:

— Jest to ostatnia radość mego życia...

Twarz starca nie zdradzała wszakże uczucia, które skupiło się może we wzroku wlepionym w syna. Ten syn oddał dziecko swoje Alzacyi, starej firmie dał nową głowę. Pan Filip Oberlé dziwił się i cieszył. Dziwili się i cieszyli inni członkowie rodziny,

o jedzeniu zapomniano. Wiktor zapomniał też o podawaniu półmisków, myśląc o chwili, w której powtórzy całej służbie i mieszkańcom Alsheimu nowinę: „Pan Jan obejmie naszą fabrykę, pan Jan u nas zostanie!" Przez kilka minut osoby zebrane w jadalni zastygły we własnem odrębnem marzeniu, w swym sądzie tajemnym. Każda z nich ujrzała skutki możliwe, czy prawdopodobne nowego obrotu rzeczy odnośnie do własnej osoby, każda uczuła pewien niepokój na myśl, że jutro innem będzie, niż to sobie wyobrażała. Osuwały się jakieś przyzwyczajenia, plany, tryb życia przyjęty, czy znoszony przez lat wiele. Zamieszanie i radość mieszały się z sobą.

Najmłodsza z rodziny najpierw odzyskała swobodę umysłu. Głos Lucynki pierwszy przerwał ciszę:

— Czy dlatego, że Janek powrócił, my wcale śniadania jeść nie będziemy? Mój drogi, dotąd często nam się zdarzało tak milczeć, jak przed chwilą, byliśmy istotami niememi, z których każda dla siebie myślała, a to nie dodaje wcale uroku zebraniom rodzinnym; teraz już tak nie będzie, prawda?

Roześmiała się, jak gdyby wszystkie nieporozumienia do przeszłości już należały. Zaczęła żartobliwie opowiadać o milczących posiedzeniach rodziny: o dziewiątej wieczorem każdy już śpieszył do swojej sypialni, o rzadkich odwiedzinach; a zaproszenie ze Strassburga wywoływało w domu przewrót.

Wszyscy popierali jej obmowę przeszłości zmienionej postanowieniem Jana, który, szczęśliwy, wesół,

przysłuchiwał się tak mało znanej siostrze; dziwiła go ona i zachwycała.

— Teraz—zakończyła—wszystko się zmieni. Od dzisiaj do października będzie nas pięcioro. A potem, będziesz cały rok w wojsku, ale od czegoż urlopy?

— Przyjadę w każdą niedzielę.

— Będziesz nocował w domu? — spytała pani Oberlé.

— Zapewne z soboty na niedzielę.

— Będziesz miał ładny mundur — mówiła Lucynka — kurtka błękitna z żółtem naszyciem, buty, lanca... ale najlepiej podoba mi się kołpak z foczej skóry z białemi sznurami, z białą i czarną egretą z włosia... to najładniejszy mundur w naszem wojsku...

— W wojsku niemieckiem — poprawiła szybko pani Monika, chcąc złagodzić niefortunne słowa córki, bo dziadek już poruszył dłonią, jak gdyby ścierał nią coś z obrusa.

Pan Józef Oberlé podchwycił ze śmiechem:

— Najładniejszy i najdroższy... Umieścić syna w 9-ym pułku huzarów nadreńskich, to nie bagatela! Będzie mnie to kosztowało z ośm tysięcy marek.

— Tak? Aż tyle?

— Co do grosza. Wczoraj jeszcze u radcy Boschera mówiłem w tej sprawie z dwoma oficerami, którzy przyznali mi słuszność. Ochotnik w piechocie urzędownie wydaje dwa tysiące dwieście marek, w rzeczywistości zaś wydaje cztery tysiące; w artyleryi powinien wydawać dwa tysiące siedmset, wydaje pięć tysięcy; w kawaleryi koszta są jeszcze większe: kto

mówi, że wystarczy trzy tysiące sześćset marek, ten sobie z ludzi żartuje, potrzeba najmniej siedm do ośmiu tysięcy. Wiedziałem o tem...

— Ojcze — przerwała Lucynka — bo też to jest pułk wyborowy...

— Bogaty, to prawda...

— A ile w nim szlachty! no i synów bogatych przemysłowców nadreńskich.

Tu ojciec i córka uśmiechnęli się do siebie porozumiewająco; tylko Jan to spostrzegł. Młoda dziewczyna zaledwie poruszyła śpiczastemi wargami. Mówiła dalej:

— Miejsca ochotników tak są poszukiwane, że trzeba starać się o nie zawczasu.

— Przed trzema miesiącami mówiłem już o tobie z twoim pułkownikiem — zauważył pan Józef Oberlé. — Dostaniesz polecające listy do kilku oficerów.

A Lucynka dodała bez namysłu:

— Mógłbyś też przedstawić nam ich kilku. To byłaby pyszna zabawa.

Jan nic nie odpowiedzał. Pani Oberlé zarumieniła się, jak zwykle, kiedy ktoś zbyt wiele powiedział. Lucynka śmiała się jeszcze, a dziadek jeść przestał i urywanemi, bolesnemi zapewne ruchami zwrócił ku wnuczce białą, smętną głowę. W oczach starego Alzatczyka tkwić musiała wymowność łatwa do zrozumienia, bo młoda dziewczyna ucichła i z gestem, który się zdawał mówić: „zapomniałam o obecności tego dziadka", nachyliła się w stronę ojca, by

mu dolać wina, w rzeczywistości zaś, aby uniknąć przygniatającego spojrzenia starego Filipa Oberlé. Reszta rodziny, chcąc zatrzeć złe wrażenie, zaczęła mówić o trybie życia ochotników, o koszarach św. Mikołaja w Strassburgu, a to ze zbytecznym pośpiechem, z nadmierną ilością ruchów i wyrazów. Żadne z nich nie śmiało spojrzeć w stronę dziadka, który ciągle wpatrywał się we wnuczkę swym nieubłaganym wzrokiem. Śniadanie z tego powodu skrócono, tem chętniej, że pan Filip Oberlé, pomimo prośby pani Moniki, nie chciał przebaczyć Lucynce i nic już do ust nie wziął.

W dziesięć minut później młoda dziewczyna doganiała brata w alejach parku. Jan zapalał właśnie cygaro. Słysząc jej kroki za sobą, odwrócił się. Nie śmiała się teraz. Szła bez kapelusza, pomimo wiatru, który włosy jej rozwiewał, okryta białą chustką, roznamiętniona i w woli swej zacięta.

— Widziałeś! — zawołała — to nie do zniesienia!

Jan pociągnął kilka razy dym z cygara, zasłaniając rękami płomień zapałki, potem odrzucił ją.

— Zapewne, moje dziecko — odezwał się — ale trzeba umieć znosić...

— Tu niema dziecka — odpowiedziała gwałtownie — jest osoba dorosła, która musi rozmówić się z tobą szczerze. Mój drogi, my znamy się tak mało, a trzeba, żebyśmy się poznali. Ja ci w tem pomogę, zobaczysz.

Spojrzeniem zachwytu objął Jan tę istotę piękną,

która z tak śmiałą stanowczością do niego przemawiała; potem spokojnie, czując, że przypada mu, jako mężczyźnie, rola sędziego, który zimnej krwi tracić nie powinien, szedł koło siostry aleją, ciągnącą się wzdłuż trawnika, obramowaną z drugiej strony klombami krzewów.

— Mów, Lucynko, możesz być pewną...

— Twojej dyskrecyi? Dziękuję ci, nie o to mi teraz chodzi. Chcę ci poprostu wyłożyć moje zapatrywania w pewnej kwestyi i wcale z niemi kryć się nie będę. Mówię ci, że to są rzeczy nie do zniesienia. O Niemcach i ich kraju tutaj można mówić tylko źle. Ledwie wypowiesz słowo pochwały, choćby najsprawiedliwszego uznania, mama zacina usta, a dziadek upokarza mnie wobec służby, jak to miało miejsce dzisiaj. Czyż to zbrodnia powiedzieć komuś: „przywieź nam kilku oficerów do Alsheimu", przecież nie możesz uwolnić się od służby wojskowej w pułku niemieckim, w mieście niemieckiem, pod rozkazami oficerów, którzy chociaż są Niemcami, należą do najlepszego towarzystwa.

Szła krokiem nerwowym, kręcąc w prawej ręce łańcuszek złoty, spływający po jej staniku.

— Gdybyś ty wiedział, Janku, ile ja już wycierpiałam przez ten brak swobody w domu, bo, nasi rodzice mają zupełnie inne pojęcie, niż te, które dało nam wychowanie. I ostatecznie pocóż je nam dali?

Jan wyjął z ust cygaro.

— Lucynko, tylko wola ojca kierowała naszem wychowaniem.

— Bo on jeden jest inteligentny.

— Ach, jak możesz tak sądzić naszą matkę!

— Wysłuchaj mnie. Nie należę do tych, którzy połowę swych myśli ukrywają, a połowę tak ukwiecą, że jej poznać nie można. Mamę bardzo kocham, bardzo, więcej niż przypuszczać możesz, ale i sądzę ją także. Mama jest doskonałą gospodynią, jest domyślną, ma pewien smak literacki, ale niema pojęcia o kwestyach ogólniejszej natury. Po za Alsheimem nic nie widzi. Mój ojciec daleko lepiej zrozumiał nasze położenie w Alzacyi, a to dzięki swoim rozległym stosunkom i interesom handlowym, dzięki swej ambicyi wreszcie...

— O jakiej ambicyi myślisz? — spytał Jan, przystając.

Mówiła dalej:

— Dziwię cię, że jak na „dziecko", jak się wyraziłeś, jestem za śmiała, może nawet zuchwałą?

— Trochę.

— Mój drogi, ja tylko sąd twój wyprzedzam, abyś nie tracił czasu na studya psychologiczno porównawcze. Ty wczoraj przyjechałeś, ja tu jestem półtrzecia roku, pozwalam ci skorzystać z mego doświadczenia. Tak, ojciec ma wiele ambicyi — to wątpliwości nie ulega. Miał wszelkie dane, by zyskać powodzenie, żelazną wolę wobec niższych, wiele giętkości z innymi; majątek, bystrość umysłu, która stawia go wyżej, niż wszystkich naszych przemysłowców, lub niemieckich urzędników. Przepowiadam ci,

że teraz, skoro ma łaski namiestnika, będzie posłem...

— To niemożliwe, Lucynko!

— Być może, ale tak będzie. Nie wybiorą ojca w Obernai zapewne, ale wybiorą go gdzieindziej, wybiorą, bo rząd go poprze i on sam potrafi wyzyskać okoliczności... Z pewnością nie wziąłeś tego faktu w rachubę, kiedy postanowiłeś osiedlić się w Alsheimie. Zaniepokoiłam cię. Będziesz miał tu jeszcze wiele niespodzianek. Przedewszystkiem wiedz o tem, mój drogi braciszku. — wyraz „drogi" wymówiła z naciskiem — że u nas wcale nie jest zabawnie. Jesteśmy nieodwołalnie rozdzieleni.

Milczeli przez chwilę, bo doszli właśnie do domku odźwiernego, potem skręcili w aleję, wiodącą wgłąb parku.

— Nieodwołalnie! Tak sądzisz?

— Tylko dziecko wątpiłoby o tem mogło. Ojciec nie zmieni się, nie zostanie Francuzem, bo to zwichnęłoby jego przyszłość i utrudniło handel; mama nie zmieni się, bo jest kobietą, dla niej zostać Niemką, znaczyłoby wyrzec się uczuć bardzo szlachetnych w jej pojęciu; dziadka też nie przerobisz. Więc?...

Zatrzymała się, stojąc wprost Jana.

— Więc, mój drogi, skoro nie możesz przywrócić pokoju łagodnością, trzeba go przywrócić siłą. Tu nie może być mowy o neutralności. Najlepsze twoje chęci nie oprą się okolicznościom, jestem tego pewną. Połącz się z nami, z ojcem i ze mną, choćbyś miał nawet odrębne trochę przekonania. Mama,

widząc, że dzieci nie przyznają jej słuszności, z mniejszym zapałem strzedz będzie swych dziecinnych wspomnień; nakłoń też dziadka do mniej wyraźnych manifestacyj, a nasze zebrania w jadalni stracą może charakter zapasów na ziemi udeptanej. My będziemy górą! Niczego więcej spodziewać się nie możemy. Czy zechcesz?... Ojciec mówił mi dzisiaj, że dla Niemców słabą masz sympatyę. Ale przecież znieść ich możesz?

— Mogę.

— Ja też proszę tylko o tolerancyę i o względy dla nich, a raczej dla nas, którzy ich przyjmujemy. Dziesięć lat spędziłeś w Niemczech, tutaj żyć możesz tak, jak tam żyłeś; nie wyjdziesz przecie z salonu, jeśli który z nich przyjdzie nas odwiedzić.

— Naturalnie. Ale, posłuchaj mnie. Jeśli nawet różnię się trochę w poglądach z moją matką, jeśli moje wychowanie pozwala mi znosić to, co dla niej jest wstrętne, ganić jej nigdy nie będę. Wzruszają mnie powody jej postępowania.

— Wzruszają?

— Tak.

— A dla mnie są nierozsądne.

Zielone oczy Jana i jaśniejsze oczy Lucynki badały się przez chwilę. Młodzi ludzie, poważni oboje, mierzyli się wzrokiem pełnym zdziwienia i wyzwania: „Czyż to ta sama dziewczyna dopiero co taka słodka i wesoła?" „On mi się opiera, ten brat wychowany w jednych zasadach ze mną, który powinien mi ustą-

pić, choćby dlatego, że jestem młoda i że oczy jego mym widokiem raduję". Była niezadowolona.

W tem pierwszem spotkaniu zetknęły się: gwałtowność ojca odziedziczona przez córkę i niezłomna wola matki przelana w syna.

Lucynka pierwsza przerwała milczenie. Szła dalej potrząsając głową.

— Rozumiem, przypuszczasz, że znajdziesz w mamie powiernicę, przyjaciółkę, której serce otworzyć możesz. Ogromny mam dla mamy szacunek. Ale ty się mylisz, Janku. Ja też próbowałam. Mama widzi własne nieszczęścia w przesadzonych rozmiarach. Cokolwiek jej powiesz, wszystko będzie argumentem w jej własnej sprawie. Gdybyś, naprzykład, ożenił się z Niemką...

— Nie! ach, nigdy!

— Ale przypuśćmy... wtedy mama poszłaby natychmiast do ojca i powiedziała mu: „Widzisz, jaki stał się skandal! To twoja wina! Twoja!" A jeśli zechcesz się ożenić z Alzatką, mama pysznić się tem będzie, wołając: „Przy mnie stanął, przeciwko wam! przeciwko wam!" Nie, mój drogi, jedyną powiernicą w Alsheimie jest Lucyna Oberlé.

Ujęła rękę Jana i wzniosła ku niemu twarz, pełną życia i młodości.

— Wierzaj mi, bądźmy z sobą szczerzy. Ty mnie nie znasz i zdumiewam cię. Dojrzysz we mnie wielkie wady: jestem indywidualistką, prawie nie zdolną do poświęceń, jestem kokietką czasami, ale nie ma we mnie fałszu. Czekając na ciebie, oczeki-

wałam jednocześnie wielkiej, trwałej radości, że twoją młodość mieć będę przy sobie, że ją zrozumiem. Zwierzę ci się z tego wszystkiego, co jest w mojem życiu głębią i powagą, powiem co czynić zamierzam... Nikomu tutaj całkowicie zwierzyć się nie mogę. Nie masz pojęcia, jak nad tem cierpiałam. Czy zechcesz?

— O tak!

— Ty mi powiesz, co myślisz, ale przedewszystkiem, ja się wypowiem. Nie będę się tu dusiła w tym domu. Wiele rzeczy mam do powiedzenia... Postaram się odzyskać w ten sposób czas stracony, zdobyć sobie trochę braterskości, choć spóźnionej.

— O czem myślisz?

— O tym naszym biednym domu.

Lucynka wzniosła oczy ponad jego szczyty. Chciała w ten sposób wyrazić. „O tym naszym smutnym istotnie domu!" Potem uściskała brata i dodała na odchodnem:

— Nie jestem znów taka zła, braciszku, ani taka względem mamy niewdzięczna. Pójdę teraz do niej, by pomówić o twoim powrocie. Pewno ma ochotę podzielić się z kim swojem szczęściem.

Lucynka obejrzała się jeszcze, by rzucić bratu uśmiech i właściwym sobie krokiem bogini, poprawiając włosy wiatrem i przechadzką rozrzucone, weszła na ganek i zniknęła w głębi domu.

ROZDZIAŁ IV.

Opiekunki domowego ogniska.

Jan po odejściu siostry obszedł dom, minął półkole podwórza folwarcznego, potem ogród warzywny, otoczony murem, przeszedł przez boczną furtkę na prawo i odrazu znalazł się w polu, po za wioską. Pierwsza radość z powrotu już zbladła i zwiędła. W uszach brzmiały mu jeszcze urywki zdań do głębi duszy zapadłych, a wraz z niemi ruchy, głos, obraz istoty, która je wypowiedziała. Myślał o „smutnym domu" i cierpiał, porównywając rzeczywistość z marzeniem o dniu powrotu do domu, o przyjęciu, które nań oczekiwało w Alsheimie; z jakiemże wzruszeniem, religijnem prawie, mówił sobie w duchu, zwiedzając dalekie krańce Europy: „mój pierwszy dzień w Alsheimie, gdy ojciec powie „tak!" Mój ojciec! matka, siostra!" Pierwszy dzień nadszedł, nie ziścił jednak dotąd widziadeł marzenia.

I pogoda była smutna. Przed Janem, u stóp

Wogezów, pokrytych lasami, leżała naga płaszczyzna alzacka, tu i owdzie przecinały ją drzewa. Wiatr północny dął od morza i napełniał doliny smutnym jękiem, pędził po niebie ciemne chmury, nabrzmiałe deszczem i gradem, które spaść miały na południu przy stoku Alp.

Zimno było.

Jednakże Jan, dostrzegając na lewo kępę drzew kończącą aleję, w którą wpatrywał się już dziś rano, poczuł znów, że jego młodość tam go ciągnęła. Obejrzał się, czy nikt go z okien domu nie śledzi i puścił się ścieżką prowadzącą dokoła wioski.

Była to nieznaczna ścieżyna, wydeptana wzdłuż ścian stodół, chlewów, kurników, szop i śpichlerzy zagród Alsheimu przez ludzi, którzy tędy szli do roboty lub z niej wracali; zagrody te, frontem zwrócone ku traktowi, często oddzielały się od niego białym murem, z po za którego wyglądały gałęzie rozłożystej morwy.

Młodzieniec szybko kroczył po ubitej ziemi. Minął kościół, który na środku wioski wznosił w niebo swą kwadratową wieżę, zakończoną dachem w kształcie dzwonu i metalową iglicą; wreszcie doszedł do kępy złożonej z czterech olbrzymich drzew orzechowych. Stanowiły one jakby znak, ozdobę i ochronę ostatniego domu Alsheimu. Tu zaczynała się posiadłość pana Ksawerego Bastiana, mera wioski, dawniej przyjaciela pana Józefa Oberlé; do tego zamożnego, wpływowego, znanego patryoty Jan dzisiaj pośpieszał. Z sąsiedniego podwórza dobiegał odgłos cepów.

Pracowali tu pewno rośli synowie Ramspachera. dzierżawcy Bastiana; jeden z nich niedawno z wojska niemieckiego wrócił, drugi miał doń wstąpić w listopadzie. Młócili zboże cepami, po dawnemu. Przez całą jesień, przez całą zimę, gdy u młynarza mały już był zapas zboża, a pogoda nie dopisywała, na klepisku u Bastianów leżały snopy, a cepy biły potężnie, pędziły niby stado galopujących źrebaków. Nic tu postaci nie zmieniło.

— To stare gniazdo ten mój Alsheim! — szepnął Jan.

Chociaż unikał spotkania, zajrzał przecież na podwórze; ludzi nie zobaczył, bo duży wóz ich zakrywał przed jego oczami. Sam jednak mógł uśmiechem przyjacielskim powitać znane kąty, budynki drewniane ze szparami założonemi ziemią, które wykazywały trwałość kasztanowego drzewa, użytego na bale, belki, balkony i futryny okien. Nikt nie zauważył obecności Jana. Szedł dalej, a serce biło mu gwałtownie. Bo tuż za folwarkiem Ramspacherów ciągnęła się aleja drzew wiśniowych, prowadząca do mieszkania pana Bastiana. Z powodu niepogody mer był zapewne w domu. Za kilka minut Jan miał go powitać, zobaczyć Otylię i dowiedzieć się, w jakikolwiek sposób, czy nie jest jeszcze zaręczoną.

Otylia! Całe dzieciństwo Jana rozbrzmiewało tem imieniem. Córka Bastiana bawiła się codziennie z Lucynką i z Janem wtedy, kiedy zwrot opinii pana Józefa Oberlé nie był jeszcze wyraźny; później Otylia

stała się słodką wizyą lat w gimnazyum spędzonych, rozwijającą się dziewczyną, którą widywał podczas wakacyi w kościele; wtedy, w obecności pana i pani Oberlé, składał jej tylko ukłon, lecz podczas spacerów w lesie, wśród winnic, młodzi przy spotkaniu mieli zawsze dla siebie dobre słowo i uśmiech przyjazny. Jakiś urok posiadała ta dziewczyna po wiejsku wychowana (dwa, czy trzy lata zaledwie przebyła w Strassburgu, w klasztorze Notre Dame); o wiele poważniejsza i cichsza od Lucynki, nie była wcale światową. Posiadała zapewne urok wiejący z jej rodzinnego kraju. Wraz z Alzacyą Jan i ją stracił z oczu, ale obiedwie zostały mu w pamięci. Podczas ostatniego krótkiego pobytu w Alsheimie nie widział jej wcale, bo chciał wypróbować siebie, chciał się przekonać, czy istotnie pamięć o niej przetrwa lata rozłąki. I myślał: „Jeśli przez ten czas wyjdzie zamąż, będę miał dowód, że nigdy o mnie nie myślała; nie będę miał po kim płakać!"

Zamąż nie wyszła, ale może się z kim zaręczyła? W każdym razie ujrzy ją teraz. Wolał okrążyć aleję wiśniową; nie chciał, aby ktokolwiek mógł zobaczyć syna fabrykanta, idącego do mera. Poszedł więc wzdłuż cierniowego płotu, rosnącego równolegle do alei: stąpał po czerwonawej ziemi lub po wązkim pasie trawy, przez pługi wzdłuż rowu oszczędzonym. Za nim rozlegał się odgłos cepów coraz cichszy wskutek oddalenia i wichru.

— Co powiem panu Bastianowi?—myślał Jan.—

Jak on mnie przyjmie? Ba! dopiero co przyjechałem, o tylu rzeczach mogę nie wiedzieć.

O jakie dwieście metrów od folwarku aleja ginęła wśród grupy drzew, które zdaleka można było zauważyć. Pod ochroną wspaniałych, nagich dziś dębów, platanów i jaworów rosły zielone jodły, tuje i laury. Jan szedł dalej brzegiem lucerników, wzdłuż płotu, aż do furtki od starości zmurszałej; tu przeszedł rów po dużym kamieniu, stanowiącym rodzaj pierwotnego mostu. Gęstwina laurów zasłaniała widok na przestrzeni kilku metrów. Kroki Jana spłoszyły kosa, który odleciał gwiżdżąc. Jan przypomniał sobie, że chcąc wejść do ogrodu, trzeba tylko odsunąć haczyk w furtce. Wszedł więc, trochę zaniepokojony swoją śmiałością; od stóp do głów musnęły go gałęzie krzewów, kiedy wsunął się w wązką, mało uczęszczaną uliczkę; obszedł kilka klombów otoczonych bukszpanem i doszedł do domu mieszkalnego. Rosły tam stuletnie platany, otaczające półkolem trawnik, a gałęziami górujące nad nizkim domem, z dwoma balkonami i dachem nizko spadającym. Śpichlerz, piwnice, stodoły, pasieka ciągnęły się za domem, dając obraz dostatku i prostoty właściwych starej, mieszczańskiej Alzacyi.

Jan zatrzymał się chwilę, przykuty czarem tych miejsc, dawno mu znanych, spoglądał w okno bluszczem owinięte; już miał iść dalej, gdy w progu domu stanął człowiek wysoki i z odruchem zdziwienia poznał swego gościa. Był to Ksawery Bastian. Miał już lat sześćdziesiąt, ale nikt z rówieśników jego nie

dorównał mu krzepkością i werwą. Barczysty, z głową prawie kwadratową, pokrytą włosem białym, ułożonym w gęste niezmiernie pukle, golił wąsy i brodę, nos miał gruby, oczy szare i bystre, usta ku środkowi ściągnięte, a w całej twarzy tę dumę uprzejmą człowieka, który nigdy nie stchórzył. Nosił długie surduty według zwyczaju bogatszych Alzatczyków, mieszkających po wsiach, nawet takich, jak Alsheim, gdzie nie było śladu specyalnych ubiorów choćby w odległej przeszłości.

Kiedy spostrzegł Jana Oberlé, znanego mu od dziecka, na twarzy jego odmalowało się zdziwienie.

— To ty, chłopcze — przemówił w dyalekcie alzackim, częściej przez niego od francuzczyzny używanym—cóż cię tu sprowadza?

— Tylko to, że wróciłem.

Wyciągnął rękę, a Bastian uścisnął ją i nagle stracił wesołość, z jaką powitał Jana, bo pomyślał: „Od lat dziesięciu ojciec twój progu mego domu nie przestąpił, od dziesięciu lat jesteśmy sobie wrogami."

Głośno zaś rzekł, jak gdyby sobie sam odpowiadał i trudność jakąś rozwiązywał:

— Pomimo to, wejdźże Janie, raz jeden...

Ale zadowolenie, okazane w pierwszej chwili, zniknęło i nie pokazało się więcej.

— Zkąd pan wiedział, że tu wszedłem? Usłyszałeś mnie pan?

— Nie, usłyszałem kosa. Sądziłem, że to słu-

żący wraca z Obernai, zkąd miał przynieść naprawione latarnie do powozu. Chodź mały! — A w duchu dodawał z uczuciem żalu i oburzenia: „wejdź, jak tu wchodził twój ojciec, gdy na to jeszcze zasługiwał..."

Weszli na korytarz; Bastian otworzył drzwi wiodące do „sali"; była to jednocześnie jadalnia i salon w domu bogatego mieszczanina, dziedzica szmatu ziemi i tradycyi pozostałej po całym szeregu przodków, którzy dom rodzinny w Alsheimie opuszczali wtedy dopiero, kiedy wynosili ich na cmentarz miejscowy.

Malowniczości starodawnego umeblowania, spotykanej jeszcze tu i owdzie w domach alzackich, nie było już tutaj. Zniknęły szafy rzeźbione, krzesła o poręczach z wyciętem w nich sercem, zegar szafkowy malowany. W jasnym, czworokątnym pokoju stały nieliczne krzesła, stół, szafa, kredens; wszystko z orzecha politurowanego; na wierzchu kredensu stał posąg Matki Boskiej, miernego dłuta.

Starożytność domu wcieliła się tu jedynie w piec z fajansowych malowanych kafli, roboty majstra Hugolina ze Strasburga. Ten piec dumą napełniał pana Bastiana, to też strzegł go niby skarbu. Między piecem a stołem siedziała czarno ubrana kobieta, lat około pięćdziesięciu, dość tęga; rysy miała regularne, choć trochę zgrubiałe, otoczone pasmem gładko uczesanych siwych włosów; czoło rozwinięte, prawie bez zmarszczek, brwi pięknie zarysowane, oczy ciemne, południowe, a spokojne, dumne. Spojrzała niemi na

Jana, a potem na męża, jakby pytając: „A ten po co tu przyszedł?"

Obrębiała w tej chwili prześcieradło płócienne, którego fałdy ją otaczały. Na widok gościa upuściła robotę. Oniemiło ją zdumienie: po co jej mąż wprowadzał tego wychowańca Niemiec, syna odstępcy. Przecież w ostatniej wojnie z Prusami zginęło jej trzech braci.

— Szedł do nas, spotkałem go przed domem, Maryniu—odezwał się pan Bastian.

— Witam panią — rzekł Jan, którego dotknęły chłód i zdumienie gospodyni domu.—Sprowadziły mnie tu dawne wspomnienia — dodał, stając zmieszany na progu.

— Dzień dobry, Janie...

Te słowa zabrzmiały tak cicho, tak niewyraźnie, że nie dosłyszały ich pewno przeciwległe ściany. A potem nastąpiło milczenie okrutne; Jan pobladł. Przerwał ciszę pan Bastian, który, stojąc za nim, z ganiącą prośbą patrzył w dumne oczy nieubłagauej Alzatki.

— Zapomniałem powiedzieć ci, Maryniu, że spotkałem dzisiaj Ulrycha. Od niego dowiedziałem się o powrocie Jana. Zaręczał mi, że wszyscy powinniśmy się cieszyć z tego powrotu... To nasz człowiek...

Milczące usta gospodyni zadrgały uśmiechem niedowierzania tak krótkim, jak jej powitanie. Wzięła się znów do szycia. Jan odwrócił się ku panu Ba-

stianowi, blady, więcej rozżalony, niż gniewny, i rzekł półgłosem:

— Wiedziałem o niezgodzie, dzielącej nasze rodziny, ale nie przypuszczałem, żeby aż do tego stopnia... Od tak dawna nie byłem w Alsheimie... Proszę mi wybaczyć, że przyszedłem.

— Nie odchodź, chłopcze, nie odchodź... Wszystko ci wytłómaczę. Wierzaj mi, że nic przeciwko tobie nie mamy, ani ja, ani moja żona.

I położył mu po przyjacielsku rękę na ramieniu.

— Tak się rozstać nie możemy. Przyszedłeś do nas, a ja chcę, abyś wyszedł ztąd bez żalu... Toby mi ciążyło... Nie chcę...

— Nie, panie Bastianie, jestem tu gościem zbytecznym, nie mogę zostać dłużej.

Szedł ku drzwiom. Przytrzymała go jednak silna ręka mera Alsheimu, a głos starca nabrał siły i stanowczości.

— Zaraz. Skoro już jesteś pod moim dachem, musimy zastosować się do naszych zwyczajów, do zwyczajów, przyjętych zresztą w całej Alzacyi. Janie Oberlé, musimy trącić się kieliszkiem, albo znać cię nie chcę i ukłonu nawet od ciebie nie przyjmę!

Jan przypomniał sobie, że dom Bastianów przodował innym w wyrobie różnych nalewek. Odmowa obraziłaby niewątpliwie starego mera, a z drugiej strony, przyjmując jego zaproszenie, mógł wyrazić swoją życzliwość, nie uchybiając słowom, a zapewne

i myślom gospodyni domu, królowej tego ogniska, niemej i obcej mu, dlatego, że był synem Józefa Oberlé.

— Dobrze—odparł.

W tej chwili pan Bastian zawołał:

— Otylio!

Ręce pani Bastian opadły na jej czarną suknię i przez kilkadziesiąt sekund trzy dusze ludzkie w różnym nastroju oczekiwały tej, która wejść tu miała przez drzwi z prawej strony, tuż obok kredensu. Weszła, wynurzyła się z cienia sąsiedniego pokoju, wstąpiła w jasność sali, a Jan całą siłą hamował wzruszenie, myśląc: „Jak to dobrze, że o niej nie zapomniałem!"

— Podaj nam najstarszą, jaką masz w szafce, nalewkę—rzekł ojciec.

Otylia Bastian najpierw uśmiechnęła się do ojca, potem ruchem brwi ciemnych wyraziła zdziwienie, połączone z zadowoleniem, spostrzegając Jana Oberlé; uśmiech jednak zniknął z jej twarzy, gdy ujrzała matkę zajętą szyciem, nie biorącą żadnego udziału w przyjęciu gościa. Pierś jej wzniosła się westchnieniem, a słowa na ustach zamarły. Otylia Bastian zrozumiała położenie i taktem kobiecym wiedziona, nie chciała podkreślać jego charakteru; w milczeniu więc spełniła rozkaz ojca.

Wyjęła klucz z szuflady w komodzie, podeszła do kredensu i z głową w tył odchyloną, wspinając się na palcach, oparła się ręką o blat i zaczęła szukać odpowiedniej nalewki. Taką, jaką była teraz, tylko

mniej rozwiniętą, Jan widział w swych długich, dawnych marzeniach. Nie była pięknością klasyczną, ale miała swoją odrębną, bujną piękność. Przypominała posągi Alzacyi, widziane na pomnikach, te postacie kobiece, pochodzące ze zdrowego rycerskiego rodu; umieją one oburzać się i stawiać czoło tam, kędy słabsza Lotaryngia tylko łzy roni. Jak wszystkie Alzatki, miała Otylia wzrost wysoki, szerokie policzki, zgrabną linią z brodą złączone i twarz różową. Brakło jej wprawdzie u głowy skrzydeł czarnej kokardy, ale nie traciły na tem jej pyszne matowe włosy koloru dojrzałej pszenicy; włosy te były lekko na skroniach opuszczone i z tyłu głowy w wielki węzeł zwinięte. Brwi młodej dziewczyny były ciemne, rzęsy długie; oczy zaś miała jasne, a w nich spoczywała dusza zrównoważona, lecz namiętna i głęboka...

Po chwili przed panem Bastianem stała butelka pękata, czarna i dwa kieliszki ze szkła rżniętego. Gospodarz ujął butelkę jedną rękę, a drugą wyciągnął ostrożnie korek, pęczniejący jak łyko drzew na wiosnę. Jednocześnie zapach dojrzałych owoców rozchodził się po pokoju.

— Ta nalewka ma z pięćdziesiąt lat przynajmniej—zauważył, nalewając płyn w kieliszki.

Potem dodał poważnie:

— Janie Oberlé, piję za twoje zdrowie!

Jan nic mu zaraz nie odpowiedział. W milczeniu wpatrywał się w Otylię, która oparta o kredens

także się przyglądała towarzyszowi lat dziecinnych. Wreszcie wyrzekł dobitnie:

— Piję na cześć Alzacyi!

Po sposobie wypowiedzenia tych słów, po wyrazie oczu i ruchu ręki ktoś w tej sali poznał, że w duszy młodzieńca płonęła gorąca miłość dla Alzacyi.

Wysoka, piękna córa Bastianów stała nieruchoma na tle jasnego kredensu, ale w jej oczach zagorzał żywy blask, jak kiedy w słońcu faluje złote zboże. Nie odwróciła głowy, nie oderwała spojrzenia, tylko jej powieki opuściły się zwolna i zwarły w podzięce.

I nic więcej...

Pani Bastian nie podniosła nawet głowy, Otylia nie wyrzekła jednego słowa.

Jan skłonił się wszystkim i wyszedł.

Mer Alsheimu dogonił go na ganku.

— Odprowadzę cię do końca ogrodu—wyrzekł—dla nas, dla ciebie i dla twego ojca lepiej, aby nas razem nie widziano.

— Jakież to stosunki teraz tu panują?—wybuchnął Jan. — Jakto? więc nie mogę bywać u pana, bo różnisz się w przekonaniach z moim ojcem; muszę pokryjomu dom pana opuszczać; a w nim spotyka mnie obraza—ciężka—niech mi pan wierzy!

Mówił tak głośno, że dosłyszeć go było można w domu, od którego dzieliło ich zaledwie kilka kroków. Bledszy był niż zazwyczaj, a wzruszenie ściągające mięśnie szczęk i szyi, nadało jego twarzy tragiczny wyraz.

Pan Bastian pociągnął go za sobą.

— Mam jeszcze inne powody, dla których chcę cię dalszą drogą odprowadzić, bo muszę ci wytłómaczyć...

Weszli na ścieżkę, wiodącą wzdłuż ogrodu warzywnego, która dalej ginęła w gaiku.

— Ty nie rozumiesz, chłopcze—mówił pan Bastian pewnym, lecz łagodnym głosem — bo właściwie jeszcze wśród nas nie żyłeś. Nic się tu jednak nie zmieniło. To, co jest, trwa już lat trzydzieści.

Między drzewami ukazał się kawał płaszczyzny, zamkniętej w głębi siniejącemi Wogezami.

— Dawniej—ciągnął dalej pan Bastian, wskazując na krajobraz—naszą Alzacyę zamieszkiwała jedna rodzina. Znali się wielcy i mali i żyli z sobą w przyjaźni. Ja pochodzę z owych czasów. Na całym świecie tylko w jednej Alzacyi tak mało było pychy, a tak wiele prostoduszności; wiesz dobrze, że ja i teraz jednakowo postępuję z bogaczem strasburskim i z węglarzem z Wogezów. Ale co się stało, to się stało; oderwano nas od Francyi i ciemiężono, bo nie chcieliśmy dać słowa zgody; buntować się nie możemy, ani też wyzwolić z pod władzy rasy obcej, nie rozumiejącej ani naszego życia, ani ducha... Więc nie dopuszczamy do naszych ognisk Niemców i tych z pomiędzy nas, którzy z wrogiem trzymają...

Umilkł na chwilę, nie chcąc całej swej myśli wypowiedzieć, a potem dodał, ściskając rękę Jana:

— Gniewasz się na moją żonę, że cię tak źle przyjęła... Ale widzisz, tu nie chodzi ani o ciebie,

ani o nią... Dopóki niema pewności, jakim ty jesteś istotnie, uważają cię za wychowańca Niemców, a ona uosabia kraj. Pomyśl tylko. Nie miej jej tego za złe. Wielu już odstąpiło od Alzacyi, wielu mężczyzn; najlepsi wchodzą w kompromisy i mniej lub więcej wyraźnie uznają pana. Ale nie kobiety nasze... Ach, Janie, ja sprzeciwiać im się nie mogę nawet wtedy, kiedy o ciebie chodzi, choć wierzaj mi, wiele mam dla ciebie życzliwości. Jeśli Alzatka źle cię przyjmie, niema w tem jeszcze tak wielkiej obrazy, bo one bronią kraju, one dalej wojnę prowadzą.

Starzec miał łzy w oczach zaczerwienionych, otoczonych zmarszczkami.

— Poznacie mnie później—rzekł Jan.

Doszli do krańca ogrodu, do furtki, równie jak pierwsza, zmurszałej. Pan Bastian otworzył ją, uścisnął rękę Jana i stał długo na miejscu, ścigając wzrokiem młodego człowieka, niknącego w oddali; ten szedł z głową wskutek wichru naprzód podaną. Jan poruszony był do głębi duszy. Czuł, że między nim a każdą rodziną w tym kraju stanie jego ojciec. I cierpiał nad tem, że urodził się w domu, do którego wracał. Jedyną słodyczą tego dnia był dla niego obraz Otylii z oczami, które zamykały się wolno, wolno...

ROZDZIAŁ V.

Towarzysze drogi.

Zima przeszkodziła panu Oberlé prowadzić wykształcenie fachowe syna według pierwotnego planu. Warstwa śniegu, pokrywająca szczyty Wogezów, choć niezbyt gruba, utrudniała jednak podróże. To też Wilhelm oprowadził tylko Jana po paru działach leśnych, leżących blizko Alsheimu, na ostatnich stokach Wogezów. Dalsze wyprawy odłożono do cieplejszej pory. Ale Jan nauczył się już wymierzyć bez omyłki jodłę, czy buk, oceniać drzewa według miejsca zajmowanego w lesie, według wysokości pnia do pierwszych gałęzi, wyglądu kory, znamionującej zdrowie rośliny, i według innych jeszcze oznak rozpoznawczych, rzec można, rodzajem jasnowidzenia, cechującym biegłych specyalistów. Ojciec wtajemniczył go w sposoby fabrykacyi, obznajmił z maszynami, uczył sporządzania kontraktów sprzedaży i przewozu we-

dług tradycyi, które od lat pięćdziesięciu w domu Oberlé panowały.

Po za tem przedstawił go dwom urzędnikom administracyi leśnej w Strassburgu. Ci urzędnicy w uprzejmości swojej ofiarowali się wyłożyć ustnie Janowi nowe prawodawstwo leśne, o którem dotąd mało wiedział.

— Przyjdź pan do biura—zapraszał go młodszy z nich — a ja dam panu wskazówki pożyteczniejsze od tych, które znalazłby pan w książkach; bo prawo jest prawem, a administracya, to rzecz inna.

Tymczasem minęło kilka tygodni, zanim mógł udać się do miasta. Potem, w marcu, ociepliło się nagle i śniegi stopniały. W przeciągu tygodnia, wcześniej niż zazwyczaj, potoki nadmiernie zolbrzymiały, a wysokie szczyty, które dobrze widać było z Alsheimu, szczyty Wogezów po za górą świętej Otylii, usiane dotąd polanami i drogami białemi od śniegu, przywdziały letnie stroje z ciemnej i jasnej zieleni.

Nadeszła doskonała pora do wycieczek w okolice Alsheimu, takich właśnie, jakie pamiętał Jan z czasów dzieciństwa. W domu nie było wprawdzie wzorowej zgody rodzinnej, ale nie było już scen przykrych, podobnych do tej, która wybuchnęła nazajutrz po przyjeździe Jana. Dwa obozy śledziły się nawzajem, notowały słowa i czyny, które w danym wypadku posłużyć mogą jako argument, jako powód do wymówek lub dyskusyi; po za tem panował rodzaj zawieszenia broni. Różne przyczyny spowodowały taki stan rzeczy: pan Józef Oberlé pragnął znaleźć

uznanie w oczach syna; potrzebować miał wkrótce pomocy Jana, więc nie chciał występować zaczepnie; Lucynka nie mogła się dosyć nacieszyć obecnością brata, nie ustało w niej jeszcze zajęcie, z jakiem słuchała jego opowiadań o życiu studenckiem, o przygodach w podróży; pani Oberlè pragnęła oszczędzić synowi wszelkich przykrości; lękała się, że zbyt jawne okazywanie rozdwojenia oddali go od domu rodzinnego. W rzeczywistości jednak nic się nie zmieniło. Przyszły tylko: wesołość powierzchowna, pozór zgody, przerwa w boju. To też Jan, choć odczuwał kruchość tego porozumienia serc i umysłów, cieszył się niem przecież, bo długie lata spędził w samotności duchowej.

Nie brakowało zresztą drobnych starć i kłopotów. Jan codziennie prawie przechodził przez wioskę. Alsheim rozkładał się wzdłuż trzech traktów, mających kształt wideł; rękojeść szła ku Wogezom, a dwa zęby przecinały płaszczyznę. Przy zbiegu tych trzech arteryj ruchu stała oberża „pod Bocianem", zajmując jeden róg placu kościelnego. Trochę dalej, przy drodze, po lewej stronie wioski, prowadzącej do Bernhardsweiler, mieszkali robotnicy Niemcy, sprowadzeni przez pana Oberlé. Zajmowali domki jednostajnej budowy; przed każdym z nich rozciągał się ogródek. Otóż, w każdej stronie Alsheimu Jan musiał wyczytać na twarzach i w ruchach jego mieszkańców sądy, które mogły się różnić treścią, ale były dlań jednakowo przykre. Niemcy i ich żony, ludzie więcej karni i giętcy od Alzatczyków, lękali się

każdej władzy, nie szanując jej wcale; nienawiścią mieszkańców odsunięci od reszty wioski, czekali na dzień zemsty, który nadejść musi, gdy oni zapanują liczbą; nic ich zresztą z Alsheimem nie łączyło: ani pochodzenie, ani pokrewieństwo, ani religia; dla pana swego mogli żywić tylko niechęć lub obojętność źle skrywaną ukłonem mężczyzn i półuśmiechem kobiet.

Ale Alzatczycy mieli więcej szczerości; widzieli Jana w fabryce, widzieli go ciągle razem z ojcem— to wystarczało, aby i na niego padł sąd nieprzychylny. Czuł, że go otacza atmosfera tej pogardy ostrożnej, którą maluczcy potrafią okazać potężnym sąsiadom. Kiedy przechodził przez Alsheim, rolnicy, robotnicy, kobiety, dzieci nawet, wszyscy udawali, że go nie widzą; inni kryli się po domach; niektórzy, starzy szczególniej, patrzyli na niego, jakby na cudzoziemca. Tylko dostawcy domu Oberlé, jego urzędnicy lub ich krewni odnosili się z szacunkiem do Jana. A młodemu człowiekowi ciężko było żyć z tą raną, krwawiącą się ponownie, ile razy wyszedł z parku.

W niedzielę, w kościele, stojąc w nawie wapnem bielonej, Jan oczekiwał nadejścia Otylii Bastian. Młoda dziewczyna, aby dostać się do ławki, w której już od lat wielu rodzina jej zasiadała, musiała przejść około Jana. Mijała go w towarzystwie ojca i matki, ale zdawało się, że dla tej trójki nie istnieje ani Jan, ani pani Oberlé, ani Lucynka. Uśmiechała się wprawdzie Otylia po skończonem nabożeństwie, kiedy szła aleją wśród twarzy przyjaznych

mężczyzn i kobiet, dorosłych starców, wyrostków, którzy daliby się za nią posiekać; uśmiechała się do dzieci z chóru „Concordia", a te pędem wybiegały z zakrystyi, by pokłonić się córce pana Bastiana, powitać radośnie swoją Alzatkę, przyjaciółkę kochaną przez wszystkich biedaków z Alsheimu. Nie dawała im wprawdzie więcej pieniędzy od pani Oberlé, ale w jej domu nie było rozdwojenia, ani zdrady; bogactwem jedynie różnił się on od innych domów z gór i dolin alzackich.

Co myślała o Janie? Te oczy, które nigdy daremnie nie mówiły, odwracały się od niego. Te usta, które przemawiały do niego podczas dawnych spotkań, teraz milczały.

Tak upłynął pierwszy miesiąc pobytu Jana w Alsheimie.

Nastała wiosna. Pan Józef Oberlé, po dwóch dniach oczekiwania, widząc pękające pączki na brzozach, rzekł do Jana:

— Jesteś już tak biegły w naszym fachu, że możesz sam zwiedzić nasze działy w Wogezach. W tym roku porobiłem wyjątkowo liczne zakupy; niektóre z nich znajdują się aż w pobliżu Szluchtu. Zwiedzając je, obejdziesz jednocześnie całe Wogezy. Dobrze na wszystko zważaj — oto jedyna instrukcya, jaką ci daję; potem złożysz mi raport, w którym zanotujesz wszystkie swoje uwagi o każdym naszym wyrębie.

— Kiedy wyruszę?

— Jutro, jeśli chcesz. Zima już minęła.

Pan Oberlé mówił z pewnością człowieka, który, jak chłop, na czasie znać się musi i znajomość tę posiada. Przedtem już kazał sporządzić spis wyrębów leśnych, zakupionych bądź to w lasach rządowych, gminnych, bądź też od osób prywatnych i podać szczegóły dokładne, gdzie się te wyręby znajdują. Spis oddał Janowi. Działów było dwanaście, rozrzuconych wzdłuż całego pasma Wogezów, zaczynając na północ od doliny de la Bruche aż do Schluchtu.

Nazajutrz Jan włożył do torby trochę bielizny, parę butów i nie zwierzając się nikomu ze swych zamiarów, puścił się szybko w góry ku Heidenbruchowi.

Dom czworoboczny, z zielonemi okiennicami i łąka i cały las wokoło dymiły, jak gdyby pożar niszczył wrzosy i trawy, oszczędzając jedynie jodły i buki. Z ziemi zdawały się unosić długie wstęgi oparów; rozciągały się, toczyły i ginęły wreszcie w uścisku obłoku, płynącym z doliu; obłok pełzał po zboczach, ku niewidzialnemu ztąd klasztorowi świętej Otylii. Wilgoć przenikała serca zarośli, rozpościerała się wszędzie, krople wody perliły się na igłach jodłowych, spiralnie spływały po gładkich pniach buków, rosiły kamyki. przesycały mchy i, tocząc się po ziemi lub zeschłych liściach, wzbogacały potoki; zewsząd dochodził szum płynącej wody, nieustanny, jak głos zimowego świerszcza.

Jan zbliżył się do palisady z desek na zielono

pomalowanych, które otaczały posiadłość Heidenbruchu' minął baryerę i wesołym okrzykiem powitał fasadę domu, okna z powodu mgły zamknięte:

— Wuju Ulrychu!

Za szybą ukazał się codzienny czepek Alzatki, która tylko w święta zastępuje go czarną kokardą; z pod czepka uśmiechała się przyjaźnie twarz stara i pomarszczona.

— Lizo, powiedz wujowi, że tu jestem!

Teraz otwarło się ostatnie okno po lewej stronie domu i ukazała się w nim subtelna twarz, sokole oczy i ostra broda pana Ulrycha Biehlera w obramowaniu zielonych okienic, na białym murze rozpostartych.

— Wuju, muszę obejrzeć dwanaście działów leśnych; dzisiaj zaczynam wędrówkę i przyszedłem prosić cię, abyś zechciał nam towarzyszyć dziś, jutro, aż do końca...

— Dwanaście wyrębów — odpowiedział pan Ulrych, opierając założone ręce na brzegu futryny. — No, no! dobry koniec postu. Powinszować domowi Oberlé.

Przyglądał się swemu siostrzeńcowi, jego męzkiej, dzielnej twarzy, która się ku niemu z mgły wychylała i marzył, że widzi w nim oficera armii francuskiej, którego typ Jana istotnie przypominał.

Opanowany wyobraźnią, zapomniał odpowiedzieć na prośbę tak wczesnego gościa.

— Wuju—odezwał się Jan—chodź ze mną! Nie

odmawiaj mi! Sypiać będziemy w oberżach; pokażesz mi Alzacyę!

— Mój drogi, wczoraj siedem mil uszedłem.

— A dziś mamy tylko sześć przed sobą.

— Tak ci bardzo o mnie chodzi?

— Wuju, trzy lata spędziłem na obczyźnie; tylu rzeczy nauczyć się tu muszę!

— Ha! Nie odmówię ci. Pomyślałeś o mnie i tem mnie szczerze uradowałeś. Mam jeszcze inny powód, z racyi którego zgadzam się na tę podróż, i dziękuję ci za nią. Zaraz ci powiem, o co mi chodzi.

Zamknął okno.

Jan wśród ciszy nocnej posłyszał wołanie wuja, który wzywał starego służącego, drugiego pana na Heidenburchu:

— Piotrze! Piotrze!... Słuchaj-no, wyruszymy w góry na całych dwanaście dni i ty pójdziesz z nami. Spakuj moją walizkę, zarzucisz ją na plecy razem z torbą Jana, weźmiesz grube buty, kij i ruszysz przed nami aż do pierwszego popasu, ja pójdę z Janem oglądać wyręby... A pamiętaj o płaszczu gumowym i apteczce podręcznej.

Jan wszedł do domu, a wuj Ulrych, uradowany i przejęty wyprawą, wbiegł do salonu, zdjął ze ściany jakiś przedmiot metalowy na dwóch gwoździach zawieszony, poczem szybko wszedł na schody.

— Co zabierasz z sobą, wuju?

— Lunetę.

— Taką starą.

— Mój kochany, droga to dla mnie pamiątka; ta luneta należała do mojego dziada, jenerała Biehlera, i widziała porażkę Prusaków pod Jeną!

W pół godziny potem pan Ulrych dom swój opuszczał; miał, jak jego siostrzeniec, skórzane na nogach kamasze, na głowie miękki, filcowy kapelusz, lunetę przewieszoną przez plecy. Wierny harcował koło niego.

Stary Piotr poważny, prawie majestatyczny, niósł na plecach toboł, płótnem owinięty i przytrzymywany rzemieniami; wreszcie Jan Oberlé, wpatrzony w mapę wojskową, którą tamci dwaj znali doskonale, układał z nim plany wędrówki — jeden dla Piotra, drugi dla siebie i wuja Ulrycha. Krótko to trwało.

Służący wyprzedził panów, kierując się ku wiosce na lewo, w której nocować dziś mieli; wuj i siostrzeniec podążyli w pół zbocza, w stronę północno-zachodnią.

— Daleko iść mamy, ale tem lepiej — mówił pan Ulrych, gdy weszli w cień lasu.—Chciałbym całe życie tak spędzić. Wędrówka po lesie z człowiekiem swoim, tak blizkim—to marzenie.

I przymknął oczy, jak gdyby był malarzem, wdychając z rozkoszą wilgotne powietrze.

— Czy wiesz, Janie? — dodał po chwili tonem człowieka, który zwierza się z jakiejś pomyślnej dla siebie rzeczy.—Czy wiesz, że już od trzech dni czuć zapach wiosny w powietrzu. To był ten mój drugi powód.

Miłośnik lasów powtórzył z zapałem słowa, obojętnie wypowiedziane przez przemysłowca. Nadejście nowej pory poznał po tych samych znakach. Końcem laski pokazywał Janowi pąki jodeł, czerwone, jak dojrzałe jagody mącznicy, pękającą korę na bukach, źdźbła poziomek dzikich, zieleniejących koło kamieni. Zimny wiatr dął jeszcze po odkrytych miejscach, lecz w dolinach, załamach i zagłębieniach górskich, w miejscach osłoniętych, pomimo mgły, słońce już grzało tem ciepłem, które wywołuje dreszcz w sercu ludzkiem, a roślinom kiełkować każe.

Dzień ten i dni następne wuj z siostrzeńcem spędzili w lesie. Panowało między nimi doskonałe porozumienie tak w milczeniu, jak i rozmowach o najróżnorodniejszych kwestyach.

Pan Ulrych lasy i góry znał na wylot. Używał teraz przyjemności opisywania Wogezów, a jednocześnie poznawał bliżej swego siostrzeńca.

Gorąca młodość Jana bawiła go często i przypominała minione czasy. Instynkty leśnika i myśliwego, drzemiące w sercu młodego człowieka, obudziły się i ośmieliły. Ale obudziły się także gniewy, bunty, słowa groźby, przeciwko którym pan Ulrych słabo oponował, bo zgadzał się w głębi duszy.

Skarga Alzacyi po raz pierwszy dobiegła do młodego słuchu, ta skarga, której cudzoziemiec nie dosłyszy, a zwycięzca słyszy ją źle i nic jej nie rozumie.

Ale Jan nietylko las obserwował, patrzył też na ludzi, na kupców i urzędników, panów wszechwła-

dnych mnóstwa ludzi, na drwali, wyrobników, węglarzy, wędrownych kramarzy, na owczarzy i świniopasów, na tych, co tylko suche drzewo zbierali i na przemytników, rabusiów leśnych, na kobiety zbierające czarne jagody, grzyby, poziomki i maliny.

Nieufności nie wzbudził, bo towarzyszył panu Ulrychowi Biehlerowi. Swobodnie rozmawiał z biedotą; w ich słowach, w ich milczeniu, w atmosferze, w której dzień i noc przebywał, odkrywał duszę własnej rasy i nią się napawał. Wielu z tych ludzi, szczególniej młodzi, nie znało wcale Francyi i nie umiało nawet zdać sobie sprawy, czy ją kochają. A jednak w ich żyłach wyraźnie płynęła krew francuska. Z Niemcami nie rozumieli się wcale. Jeden ruch, aluzya, spojrzenie, wykazywały głębokie lekceważenie chłopa alzackiego dla zwycięzcy. Myśl o jarzmie żyła wszędzie i wszędzie istniała antypatya do tego pana, który umiał rządzić tylko strachem. Inni synowie rodzin, więcej o tradycye dbałych, znając przeszłość, wierni, choć bez określonej nadziei, uskarżali się na wyzysk, na ucisk gnębiący ubogich górali i mieszkańców nizin, posądzonych o żal za przeszłością. Opowiadali też, jakie oni wzamian sztuki i psoty płatają straży granicznej, żandarmom, strażnikom leśnym, dumnym z zielonego ubioru i tyrolskiego kapelusza; opowiadali o przebiegach przemytników i dezerterów, o „Marsyliance," śpiewanej w karczmach przy drzwiach szczelnie zamkniętych i o świętach, spędzanych na francuskiej ziemi, o rewizyach, pościgach i wreszcie o tych zapasach tragikomicznych si-

ły wielkiego narodu z duchem maleńkiego. Ten maleńki naród w cierpieniu zwracał się z przyzwyczajenia, z miłości odziedziczonej po przodkach, w stronę Francyi.

Pan Ulrych był jednak najbardziej uradowany, kiedy potrafił rozgadać starych ludzi. Jeżeli zobaczył na drodze, w jakiej wiosce człowieka lat pięćdziesięciu lub więcej i poznawał Alzatczyka, bywał zwykle sam poznany, a uśmiech tajemniczy poprzedzał zwykle powitanie właściciela Heidenbruchu: „Przyjaciel, widzę, swojak, na naszej ziemi wyrosły?" A jeśli po wyrazie twarzy, po ruchu powiek, po pewnej obawie w spojrzeniu poznał trafność swego sądu, dodawał półgłosem:

— Przyjacielu, na żołnierza francuskiego wyglądasz!

Wtedy często jaśniały uśmiechy lub łzy, coś wstrząsało sercem, ludzie bledli, rozumieli się, ten i ów fajkę z ust wyjmował i najczęściej dłoń, wzniesiona do kapelusza, składała ukłon żołnierski i trwała w nim, dopóki widać było na drodze dwóch wędrowców.

— Widzisz go?—pytał cicho Jana p. Ulrych.— temu tylko trąbkę daj w rękę, a zagra ci wojskowego marsza Francyi.

— Francya!

Jan Oberlé wciąż o niej mówił, a kiedy stawali na jakim szczycie, pytał:

— Czy daleko ztąd do granicy?

Chciał wiedzieć, czem była Alzacya za czasów

„błogiego panowania.“ Pytał: Jakie były swobody? Jak rządziły się miasta? Jaka różnica zachodziła między żandarmami francuskimi, których wuj wspominał z uśmiechem przyjaznym, jako ludzi dobrych, niezbyt twardych dla biedoty, a żandarmami niemieckimi, nienawidzonymi w całej Alzacyi za szpiegostwo i brutalne postępowanie; a mimo to władze zawsze im przyznawały słuszność.

— Jak nazywał się ten prefekt z czasów pierwszego cesarstwa, który w całej Dolnej Alzacyi kazał poustawiać przy drogach ławki kamienne o dwóch kondygnacyach, aby kobiety, wracając z targu mogły odpocząć i złożyć na nich swój ciężar?

— Margrabia de Lezay-Marnésia.

— Wuju, powiedz nieco o naszych malarzach, o naszych deputowanych, biskupach. Powiedz, jak wyglądał Strassburg za czasów twojej młodości? A jak to było, kiedy muzyka wojskowa grywała na Contados?

Pan Ulrych z rozkoszą mówił o dawnem życiu i zdawał się odżywać przy tych wspomnieniach. Przebiegając pasma Wogezów, opowiadał historyę Alzacyi. Puszczał wodze gorącemu sercu. I bywało, że płakał i śpiewał też z wesołością dziecka piosnki Nadard'a, Beranger'a, „Marsyliankę,“ lub stare kolędy, które rozbrzmiewały w ostrołukach leśnych.

Jan tak namiętnie przejmował się obrazami wywołanej przeszłości, tak łatwo, naturalnie, podzielał antypatye i oburzenie czasów teraźniejszych, że stary

Alzatczyk, z początku uradowany temi objawami, jako oznaką dobrej rasy, zaczął się niepokoić.

Pewnego wieczora złożyli jałmużnę dawnej nauczycielce języka francuskiego, teraz pozbawionej prawa wykładania tego języka, co ją doprowadziło do nędzy, bo była zbyt starą, aby otrzymać dyplom niemiecki.

Jan uniósł się gniewem.

— Mój drogi — odpowiedział wuj — nie idźmy zbyt daleko. Ty masz żyć z Niemcami.

Odtąd pan Ulrych unikał rozpraw na temat aneksyi. Ale, niestety, cała Alzacya, jakiś krajobraz, szyld sklepowy, ubiór kobiet, typy mężczyzn, widok żołnierzy, fortyfikacye na szczycie góry, jakiś napis, wiadomość bieżąca wyczytana w dzienniku, gdy wieczorem obiadowali w jakiej oberży alzackiej, każda godzina dnia—to wszystko jednemu i drugiemu przypominało położenie Alzacyi, kraju zdobytego, ale nieprzyswojonego.

Pan Ulrych daremnie starał się odpowiadać krótko, jakby niedbale; myśl Jana szła ku rzeczom niewiadomym. A gdy wstępowali na góry, wuj bez przykrości i zdziwienia śledził wzrok młodzieńca, szukającego zachodu, niby twarzy ukochanej. W ten sposób nie patrzył on ani na północ, ani na południe.

Oglądanie lasów trwało dwa tygodnie, a przez ten czas pan Ulrych dwa razy tylko zajrzał do Heidenbruchu i to na parę godzin zaledwie. Rozłączyli

się dopiero w niedzielę Palmową, we wsi położonej w dolinie Münster.

Było to wieczorem o tej godzinie, kiedy niemieckie stoki Wogezów mają barwę ciemnego szafiru, a pas świetlany rozciąga się tylko na najwyżej rosnących drzewach, tworzących granice cieniom.

Pan Ulrych Biehler pożegnał już siostrzeńca, w którym w przeciągu dwóch tygodni znalazł najlepszego przyjaciela. Tego samego dnia rano Piotr odjechał koleją żelazną do Obernai.

Pan Ulrych podniósł kołnierz paltota, bo zimno było, gwizdnął na Wiernego i oddalił się od oberży, gdy Jan bez kapelusza zbiegł ze schodów ganku i zawołał:

— Jeszcze raz, do widzenia.

Wuj poruszył tylko ręką, chcąc ukryć zmieszanie, lękając się przemówić, aby drżeniem głosu nie zdradzić swego wzruszenia.

— Odprowadzę wuja do ostatniego domu wioski—ciągnął dalej Jan.

— Po co? Czy warto przedłużać...

Jan z głową zwróconą w stronę wuja, który znów patrzył przed siebie na drogę, zaczął iść koło niego i odezwał się znów swoim młodym, pieszczotliwym teraz głosem:

— Wuju Ulrychu, żal mi nieskończenie, że rozejść się musimy i powiem ci, dlaczego. Ty już po pierwszych słowach wszystko rozumiesz i zaprzeczenie twoje łatwo pochwycić; jeżeli nie zgadzasz się ze mną, poznaję to natychmiast po ruchu ust, przyczem

koniec brody idzie w górę. Jesteś pobłażliwy, niełatwo się unosisz; masz wiele stanowczości; pojęcia innych są ci widocznie dobrze znane, bo odpowiadasz im z całą swobodą; szanujesz przytem słabych... Do tego zaś nie przyzwyczajono mnie z tamtej strony Renu.

— Ba! ba!

— Oceniam też twoje o mnie obawy.

— Obawy?

— Tak, czy myślisz, wuju, że tego nie spostrzegłem. Jest sprawa, która mnie roznamiętnia, a ty już od sześciu dni nie chcesz o niej ze mną mówić.

Teraz nie widział już Jan wujowego profilu, bo pan Ulrych zwrócił ku niemu twarz stroskaną.

— Mój chłopcze, umyślnie tak postępowałem. Pytałeś, więc opowiedziałem ci, czem byliśmy i czem jesteśmy. A potem zrozumiałem, że nie należy zbyt wiele o tem mówić, bo utonąłbyś w zmartwieniu. A, widzisz, zmartwienie to dobre dla mnie. Ale dla ciebie, młodego, lepiej będzie, gdy rozpoczniesz życie, jak konie, które jeszcze nie biegały i z małym idą ciężarem.

Minęli już ostatnie domy wioski. Stali na polu między potokiem kamienistym a urwiskiem ginącym w lesie.

— Zapóźno!—rzekł Jan Oberlé, zatrzymując się i wyciągając rękę.—Zapóźno, za wiele już powiedziałem, wuju Ulrychu! Tak jak ty, należę do dawnej

epoki. I... niech tam! Skoro mam jutro dotrzeć aż do Schluchtu, pójdę do niej. Pokłonię się naszej pięknej Francyi!

Śmiał się, mówiąc te słowa.

Pan Ulrych pokiwał głową raz i drugi, jakby z naganą, ale nic nie odpowiedział i poszedł dalej, niknąc w zmierzchu wieczornym.

ROZDZIAŁ VI.

Granica.

Nazajutrz rano Jan wybrał się w góry dla obejrzenia działów leśnych, niedawno przedtem nabytych przez jego ojca. Działy te znajdowały się w lesie Stosswihrskim, na górach, zamykających równinę, po lewej stronie przełęczy Szlucht.

Droga była daleka i ślizka po świeżo spadłej ulewie. Prócz tego Jan stracił kilka godzin na obejście ogromnej skały, która zagradzała ścieżkę. Zaledwie około południa przybył zatem do chatki, zbudowanej z desek i położonej u stóp wyrębu, tam, gdzie się kończyła droga.

Chwilkę porozmawiał z dozorcą Niemcem, który pod okiem administracyi leśnej kierował wyrąbywaniem i wywożeniem jodeł, i zaraz wyruszył dalej, mijając drwali, spieszących z powrotem do dolin, by zajść tam jeszcze przed wieczorem.

Słońce jaśniało jeszcze w całym blasku, chociaż wkrótce skryć się już miało za szczytami Wogezów.

Z bijącem sercem myślał Jan o blizkości granicy, ale nie pytał o drogę przechodniów, chociaż oni go uprzejmie pozdrawiali, ponieważ uważał za punkt honoru ukrywać swoje wrażenia i nie chciał się zdradzić ze swem wzruszeniem przed tymi drwalami, którzy, wracając do domu po skończeniu roboty, z ciekawością spoglądali na nieznanego turystę.

Wkrótce Jan wszedł do wyrębu, opuszczonego przez drwali. Na zboczach gór bielały jodły, odarte z kory i gałęzi; toczyły się one ze szczytów i nikt nie wiedział, co je wstrzymało na pochyłościach; inne pnie, rozrzucone bezładnie, tworzyły zaporę i podobne były do kostek zapomnianych na stole gry. Na reglach nie było już nikogo — tylko jakiś starzec w ciemnej odzieży klęczał na wilgotnym mchu i składał do chustki zebrane w lesie grzyby. Kiedy nareszcie udało mu się, po długich usiłowaniach, zawiązać końce czerwonej szmatki, powstał z ziemi, włożył na głowę płócienną czapkę i dużemi krokami zaczął się spuszczać z góry, szeroko otwierając usta i napawając się leśną wonią.

— Eh! — zawołał Jan — stójcie!

Starzec, niby cień, zatrzymał się między dwoma pniami jodeł i odwrócił głowę:

— Jaka jest najbliższa droga do przełęczy Szluchtu?

— Zejdźcie, panie, za mną do wodospadu, a ztamtąd idźcie w górę z jakich 200 metrów, wtedy

spuśćcie się na dół, do Francyi, liczne ścieżki zaprowadzą was na przełęcz. Dobranoc!

— Dobranoc!

Krótko i głucho słowa jego dźwięczały w pustej przestrzeni, ale niektóre z nich głęboko zapadły w duszę Jana: „Spuśćcie się na dół, do Francyi". Chciał ją ujrzeć co prędzej, tę tajemniczą Francyę, która tak wiele miejsca zajmowała w jego marzeniach; tę Francyę, która zrywała węzły rodzinne dlatego, że niektórzy ludzie dawnej daty pozostawali wierni jej urokowi; tę Francyę, dla której tylu Alzatczyków poniosło śmierć, a tylu innych ukochało cichą, głęboką miłością, oblewającą smutkiem ich serca. Więc już tak blizko znajdowała się kraina, którą tak zazdrośnie przed nim ukrywano, kraina umiłowana, za którą stryj Ulrych, pan Bastian, jego matka, dziadek Filip i setki, tysiące innych co wieczór słało gorące modły!

Po kilku minutach dosięgnął szczytu i zaczął się spuszczać na drugą stronę. Ale drzewa tworzyły dokoła niego gęste zasłony, pobiegł więc szybko, by odnaleźć drogę i jakieś miejsce odkryte, z któregoby mógł ujrzeć Francyę. Doznawał rozkoszy w tym szalonym biegu z piersią podaną naprzód, szukając ciągle jakiegoś wyłomu w leśnej gęstwinie. Słońce skłoniło się już ku ziemi, powietrze było jeszcze ciepłe—biegł dalej, a jodły ciągle tworzyły gęstą ścianę.

— Stój! — zawołał jakiś człowiek, ukazujący się nagle z po za drzew.

Jan nie mógł się odrazu powstrzymać w swym

rozpędzie — po kilku krokach jednak przystanął i zbliżył się do celnika, który go zaczepił. Był to młody i krępy podoficer; oczy jego, otoczone siecią zmarszczek, miały wyraz trochę nieufny, dwa pęczki żółtych włosów przecinały jego krótką twarz o grubych rysach — był to prawdziwie typowy mieszkaniec Wogezów.

Popatrzył na Jana i rzekł:

— Czego, do dyabła, biegniesz pan tak szybko, wziąłem pana za przemytnika.

— Szukałem jakiegoś miejsca, z którego mógłbym zobaczyć Francyę.

— Czy to pana interesuje? Pan przybywasz z tamtej strony?

— Tak.

— Ale pan nie jesteś Prusakiem?

— Nie, jestem Alzatczykiem.

Podoficer uśmiechnął się zlekka i rzekł:

— To lepiej.

Jan nie przedłużał rozmowy, nawet zdawał się zapomnieć o pytaniach strażnika, tylko wpatrywał się uważnie w jego rysy, mundur francuski, jak gdyby chciał je uwiecznić w swej pamięci. Ciekawość ta zdawała się bawić podoficera, który, śmiejąc się, przerwał milczenie:

— Jeżeli pan masz ochotę zobaczyć ładny widok, chodź pan za mną. Pokażę panu taki, który rząd mi ofiarował dla uzupełnienia mojej pensyi.

Zaczęli się śmiać obaj i spoglądali na siebie, pociągnięci jakąś wzajemną sympatyą.

— Nie mamy czasu do stracenia — rzekł podoficer — słońce za chwilę zajdzie.

Poszli szybko pod sklepieniem jodeł, okrążając grupę ostrych, nagich skał, na których stały dwa słupy oddalone od siebie o kilka kroków; słupy te wskazywały, że się kończy państwo niemieckie, a zaczyna Francya.

Przed nimi rozciągał się skalisty przylądek, który ostro odcinał się od otaczającej go zieleni; na tej wązkiej płaszczyźnie, odgraniczona od lasu kamienistą ścianą, wznosiła się chatka strażnika, zbudowana z ciężkich jodłowych desek, opartych na grubych belkach.

Z płaszczyzny tej, jak okiem sięgnąć, odkrywał się cudny, rozległy krajobraz. Ziemia, lasy, wioski, rzeka, jeziora Retournemer i Longemer, skąpane były w złotawo-różowych blaskach zachodzącego słońca. Ostatnie jego promienie łagodziły ostre kontury, złociły pola i wrzosowiska.

Jan stał w głębokiem milczeniu, upajając się tym cudnym widokiem, wzruszenie jego rosło, głęboka radość napełniała mu duszę.

— O, jaka ona piękna! — zawołał z zachwytem.

Podoficerowi, który go obserwował zukosa, pochlebił ten wykrzyknik młodzieńca, odparł więc:

— Męcząca to wprawdzie przechadzka, ale też i przyjemna dla ludzi, mających wiele czasu. Przychodzi tutaj dużo ciekawych z Gerardmeru, z Saint-Die, z Remiremont i jeszcze z dalszych okolic. Dużo też osób przybywa ztamtąd.

I wskazał palcem po za siebie, na Alzacyę.

Jan zapytał go, gdzie leżą wymienione przed chwilą miasta, nie słyszał jednak odpowiedzi, bo się zagłębił w swych własnych myślach. Zachwycała go przejrzystość powietrza, bezmiar przestrzeni, rozkosz życia i urodzajność leżącej przed nim francuskiej ziemi. Przedewszystkiem zaś był głęboko przejęty tem, co wiedział o Francyi, co czytał o niej, albo słyszał od matki, dziadka i Ulrycha, wreszcie co sam niewyraźnie przeczuwał. Wszystkie wspomnienia, spoczywające w głębi duszy, obudziły się nagle z niezwykłą siłą, niby kłosy zbóż, wznoszące się ku wschodzącemu słońcu.

Strażnik usiadł na ławce przed domem, wyciągnął z kieszeni krótką fajkę i zapalił ją spokojnie.

Jan z oczyma, pełnemi łez, usiadł obok niego na ławce, wtedy Francuz odczuł wzruszenie młodego turysty. Zachwyt nad malowniczością położenia nie zwrócił uwagi strażnika, ale zmartwiły go łzy żalu w oczach nieznajomego. Sercem odczuł serce i to właśnie zrównało i zbliżyło obu tych ludzi. Nie śmiał go jednak badać i odwracał głowę, przyczem na jego szyi zarysowały się wyraźnie silne żyły. W milczeniu obserwował roztaczający się przed nim widnokrąg.

— Z której części Francyi pan pochodzi? — zapytał go Jan.

— Z gór, odległych stąd o pięć mil.

— Czy pan już odbył służbę wojskową?

Podoficer wyjął fajkę z ust i przyłożył rękę do piersi, na której wisiał order.

— Przed sześciu laty — odparł — miałem dwa

urlopy, wystąpiłem ze służby, jako sierżant, a order ten zdobyłem w Tonkinie, świetne czasy, ale gdy miną ..

Powiedział to takim tonem, jakim mówią turyści, którzy lubią wspomnienia, ale nie nabrali jeszcze wstrętu do podróży.

Następnie dodał:

— U was tam służba jest cięższa — tak przynajmniej mówią.

— Tak.

— Zawsze słyszałem zdania: „Niemcy to państwo potężne, ale oficerowie i żołnierze nie stanowią tam jednej rodziny, jak np. we Francyi."

Słońce się zniżało—cały krajobraz, przed chwilą skąpany w różowo-złotawych promieniach, przybrał barwę płową, przeciętą fioletowemi cieniami. Purpura, pokrywająca kraniec horyzontu, z szybkością płynących obłoków obejmowała coraz większe przestrzenie, gęste cienie pokrywały zbocza gór i doliny, które Jan tak pragnął widzieć w słońcu.

Po chwili zapytał:

— Czy często spotykasz pan dezerterów?

— Uchodzących przed rozpoczęciem służby wojskowej trudno jest poznać. Można zauważyć tylko tych, którzy służą w pułkach Alzacyi i Lotaryngii i uciekają w mundurach. O, dużo widziałem takich... biedni chłopcy! Jedni z nich opuszczają ziemię rodzinną, chcąc uniknąć zbyt srogiej kary, inni dlatego, że są zbyt dumni i hardzi, inni... Możesz pan powiedzieć, że i od nas uciekają ludzie, ale to się zdarza nie tak często, jak u was.

Spuścił głowę i spoglądając z rozrzewnieniem na pogrążone w ciemności regle, rzekł:

— Tutejsi mieszkańcy, widzi pan, mogą też narzekać, jednak do nowych stron przyzwyczaić się nie mogą. Pan nie zna Francyi, a jednak patrząc na pana, możnaby właśnie powiedzieć, że pan jest naszym.

Jan poczerwieniał, ścisnęło mu w gardle — nie był zdolnym odpowiedzieć ani słowa.

Strażnikowi zdawało się, że przebrał miarę.

— Wybaczcie mi, panie, nikt nie wie, z kim się spotyka, a są rzeczy, o których najlepiej zamilczeć; ale muszę wracać na dół dla dokończenia mego obchodu.

Ukłonił się Janowi po wojskowemu. Jan ujął jego rękę i ścisnął ją mocno.

— Nie omyliłeś się, przyjacielu! — rzekł serdecznie, następnie chcąc, by strażnik pamiętał o nim dłużej, niż o zwykłych przechodniach, wyjął z kieszeni papierośnicę i zwrócił się do niego uprzejmie:

— Proszę, weź pan cygaro.

Ale w tej samej chwili ogarnęła go jakaś dziecinna radość, wysypał wszystkie cygara z papierośnicy na rękę strażnika i zawołał:

— Proszę, weź pan wszystkie! Zrobisz mi tem ogromną przyjemność — nie odmawiaj mi pan.

Zdawało mu się, że daje coś Francyi.

Podoficer zawahał się sekundę, ale później wziął cygara i rzekł:

— Będę je palił każdej niedzieli. Dziękuję panu. Dowidzenia.

Skłonił się pospiesznie i po chwili zniknął w gąszczu chojaków.

Jan wsłuchiwał się w szmer ginących w oddali kroków. Dźwięczały mu ciągle w uszach słowa strażnika: „Pan jesteś nasz". Słowa te rozbrzmiewały w jego duszy, napełniając ją niewypowiedzianem wzruszeniem.

— Tak, jestem wasz, czuję to, widzę... to mi tylko tłómaczy tyle stron mego życia.

Jan patrzył, jak cienie coraz więcej ogarniały ziemię. Rozmyślał o członkach swojej rodziny, którzy niegdyś walczyli około tych wiosek, pogrążonych w ciemności — walczyli po to, ażeby Alzacya była złączona z tą wielką krainą, leżącą przed nim.

— Ojczyzno, która mi się wydajesz tak słodką, ojczyzno moja, wszyscy o tobie mówią z czułością! I ja sam, pocóż tutaj przyszedłem? Czemuż jestem tak wzruszony, jak gdybym cię widział przed sobą żyjącą.

Po chwili na widnokręgu nieba, tam, gdzie się zaczynał błękit, zabłysła pierwsza gwiazda. Jaśniała samotna, wysoka, niby jakaś idea. Ściemniło się zupełnie. Jan więc zerwał się i poszedł ścieżką, idącą wzdłuż szczytów samotnie, wśród wielkiej ciszy, na góry rozdzielające dwa wrogie narody i mówił do gwiazdy i do cieniów, leżących u jego stóp:

— Jestem wasz, o jakżem szczęśliwy, że was widziałem. Nawet mnie przeraża tak głęboka miłość.

Wkrótce dosięgnął granicy i wspaniałą drogą, prowadzącą przez przełęcz Szlucht, zeszedł na ziemię niemiecką.

. . . . . .

Nazajutrz był to Wielki Wtorek. Jan wrócił do Alsheimu i złożył ojcu, zredagowany przez siebie, raport o wyrębach. Cały dom powitał go z widoczną radością, która silnie wzruszyła młodzieńca. Wieczorem odbyła się „konferencya" między dziadkiem i przemysłowcem. Jan wziął w niej udział, jako wracający z wycieczki po wyrębach, następnie Lucyna przywołała brata i zasiadła z nim przy płonącym kominku w żółtym salonie. Pani Oberlé czytała przy oknie, mąż wyszedł do stajni, bo stangret zawiadomił go, że jeden z koni zakulał.

— A więc — zapytała Lucyna — co widziałeś najpiękniejszego?

— Ciebie.

— Nie żartuj, ale powiedz, co widziałeś najpiękniejszego w podróży?

— Francyę.

— Zkąd?

— Ze Schluchtu. Nie możesz sobie wyobrazić' jak silnego doznałem wzruszenia, graniczyło ono z objawieniem. Nie rozumiesz mnie.

Odparła mu obojętnie:

— Ależ owszem. Jestem zachwycona, że ci to zrobiło przyjemność. Istotnie, wycieczka musiała być ładną w tej porze roku — pierwsze kwiaty wiosenne, tchnienie lasów! O, mój drogi, tyle jest w tem wszystkiem konwencyonalizmu.

Jan nie nalegał, ona więc pochyliła się ku niemu i rozpoczęła poufne zwierzenia, cieniując znakomicie swój dźwięczny głos:

— Wiesz, mieliśmy tu zajmujące wizyty —

o, wizyty, które omal co nie wywołały sceny. Wyobraź sobie, w ostatnią środę dwóch oficerów niemieckich przybyło tutaj samochodem; zatrzymali się u wjazdu i prosili o pozwolenie zwiedzenia fabryki. Na szczęście, byli w cywilnych ubraniach, ludność więc Alsheimu wzięła ich za jakichś zwykłych panów. Byli oni bardzo szykowni; jeden z nich, komendant, był już stary, ale drugi był młody, elegancki, światowy, wyniosły. O, gdybyś był widział, w jaki sposób powitał ojca! Byłam wtedy w parku, pozdrowili mnie również, a potem zwiedzili całą fabrykę, ojciec oprowadzał ich wszędzie. W tym czasie ten idyota, Wiktor, powiedział o wszystkiem dziadkowi, który urządził nam scenę wspaniałą, gdyśmy wrócili. Jak się zdaje, powinnam była chyba uciekać. Gniew jednak trwał krótko, ponieważ ci panowie nie wstąpili do „mego domu", jak mówi dziadek. Były jednak skutki tej wizyty...

Tu Lucyna stłumiła śmiech.

— Mój drogi, pani Bastian mnie potępiła.

— Towarzyszyłaś więc tym panom przy zwiedzaniu fabryki?

— Tak.

— Przez cały czas?

— Ojciec mnie zatrzymał. W każdym razie wcale nie pojmuję, co to może obchodzić żonę mera. W ostatnią niedzielę przy wyjściu z kościoła odkłoniła mi się lodowato. A ty, czy dbasz o ukłony Bastianów?

— Tak, jak i o ukłony wszystkich uczciwych ludzi.

— Uczciwych — bezwątpienia, ale widzisz, to są ludzie nie dzisiejsi, ich nagana obchodzi mnie tak mało, jak naprzykład nagana wskrzeszonej na chwilę mumii egipskiej, Odpowiedziałabym jej: — Nie znasz się nic na tem wszystkiem, wróć do swych przepasek ofiarnych.—Jakże to zabawne, że ty, braciszku, myślisz inaczej, niż ja.

Jan pogładził jej wyciągniętą rękę, którą zasłaniała się od ognia.

— Nawet mumie mogłyby sądzić o niektórych rzeczach z naszych czasów, moja droga. Są rzeczy jednakie we wszystkich czasach.

— Oh, jak to pan jest dziś uroczysty. Słuchaj, Janie, cóż ja zrobiłem złego? Czy to, że wyszłam na przechadzkę, że nie odwróciłam oczu? Czy może nie powinnam była odpowiedzieć na ich ukłon? A może źle zrobiłam, słuchając ojca, który kazał mi iść razem i pozostać do końca?

— Nie, bynajmniej.

— Więc gdzież moja wina?

— Nie jesteś winna i ja nieraz tańczyłem z Niemkami, możesz więc i ty odpowiadać na ukłony oficerów.

— A więc zrobiłam dobrze.

— W gruncie rzeczy tak — a jednak tyle jest dokoła nas szlachetnych i uzasadnionych boleści; trzeba zrozumieć, że jakieś jedno słowo, jeden gest może je odnowić.

— Nigdy się z tem liczyć nie będę, skoro tylko będę przekonana, że to, co czynię, nie jest złem,

nikt mnie nie powstrzyma nigdy. Czy ty mnie pojmujesz?

— Na tym punkcie różnimy się z sobą, Lucynko, i to nie jest różnica w pojmowaniu rzeczy, a właściwie w odczuwaniu. Dzięki swemu wychowaniu nie rozumiesz całej kategoryi uczuć.

Uścisnął ją serdecznie i zwrócił rozmowę na kwestye obojętne.

ROZDZIAŁ VII.

Wielka Sobota.

Wypogodziło się. Jan widział znów doliny alzackie w pełni wiosennej krasy. Jednakże ten widok, którego tak bardzo pragnął, wzbudził w nim tylko słabą i zmąconą radość. Nawet przed samym sobą wyznać nie chciał, jak silnie wzburzyła go ostatnia wycieczka. Zrozumiał teraz jasno odrębność dwóch narodów, dwa ich tak różne duchy, trwałość wspomnień przeszłości, trudności życiowe, wynikające z przekonań patryotycznych, nawet ostrożnie wypowiedzianych, albo też całkiem ukrywanych. Teraz dopiero pojął, jak trudnem będzie jego położenie wobec rodziny, robotników i całej Alzacyi.

Smutny nastrój jego duszy na chwilę tylko przerwany został pochwałą ojca z powodu świetnego raportu o eksploatacyi leśnej firmy Oberlé. Całą siłą woli udawał szczęśliwego, ale w to szczęście uwierzyli jedynie ci, którym uwierzyć było wygodnie.

— Janku—powitała go matka, całując serdecznie w chwili, gdy miał zasiąść do śniadania—doskonale wyglądasz! Służy ci powietrze Alsheimu, nieprawdaż? A także towarzystwo starej matki, co?

— Ba—wtrąciła Lucynka—a ja właśnie uważałam, że Janek jest dziś jakiś nieswój.

— Interesy! — zawyrokował pan Józef Oberlé, przechylając się w stronę syna — kłopotliwe interesy! Muszę go publicznie pochwalić za raport bardzo treściwy i bardzo jasno zredagowany, z którego widzę, że możemy znacznie tańszym, niż dotąd kosztem, sprowadzić z kilku miejsc drzewo. Czy słyszysz to, ojcze?

Starzec skinął głową potakująco. Napisał coś na tabliczce i podał ją synowej:

— Czy usłyszał już płacz Alzacyi?

Pani Monika szybkim ruchem zatarła napisane wyrazy. Inni spoglądali po sobie. Wszystkich ogarnęło przykre uczucie, jak gdyby coś niemiłego zaszło między nimi.

Jan uczuł znów jakiś wewnętrzny, ukryty ból, na który nie było lekarstwa. Całe popołudnie pracował w biurze fabryki, lecz z roztargnieniem i zadumą na twarzy. Myślał, że Lucynka mogłaby wyjść zamąż, że dziadek mógł umrzeć, ale w domu trwałoby dalej to samo rozdwojenie. Dawne plany, nadzieje, że potrafi dać trochę ukojenia, zgody lub przynajmniej pozorów zgody — wszystko to teraz wydawało mu się dzieciństwem. Widział, że Lucynka miała słuszność wyśmiewając jego złudzenia. Nie! Zło nie tkwiło tylko w jednej rodzinie Oberlé, ale w całej

Alzacyi. Gdyby nawet wszyscy członkowie jego rodziny usunęli się z Alsheimu, to jeszcze Jan zetknąłby się z tą samą kwestyą palącą, z tą samą bolączką w stosunkach z robotnikami, z klientami, z przyjaciołmi. Ani jego wola osobista, ani niczyja nie mogły wyzwolić Alzatczyków z ucisku nietylko teraz, ale nawet później.

W tym smutku stawała mu w oczach postać Otylii; serce jego musiało zapłonąć pragnieniem jej miłości. Tylko jedna Otylia Bastian potrafi mu uczynić możliwem życie w Alsheimie, odzyskać tylu przyjaciół utraconych, przywrócić w Alzacyi dawną powagę nazwiska Oberlé. Teraz widział w niej nietylko ładną kobietę, do której leciała pieśń jego młodego serca, ale ona uosabiała dlań spokój, godność, jedyną siłę w walkach, grożących mu w przyszłości. Potrzebował właśnie takiej, jak ona, dzielnej i dumnej istoty.

Jak jej to powiedzieć? Gdzie znaleźć sposobność pomówienia z nią swobodnie, po za oczami tej rodziny surowej i zazdrosnej? W Alsheimie? Nie! Gdzież więc znaleźć miejsce spotkania? W jaki sposób ją uwiadomić?

Jan myślał o tem cały wieczór.

Nazajutrz był to Wielki Czwartek. Wszyscy katolicy stroili grób Zbawiciela kwiatami, makatami, świecznikami — wszyscy chcieli oddać cześć Chrystusowi.

Pogoda była piękna, nawet wyjątkowo piękna, jak na porę obecną, w której przeważają mgły i deszcze. Jan czas jakiś rozmawiał z matką i siostrą

w pokoju pana Filipa Oberlé i po raz pierwszy doznawał słodkiego uczucia, że przebywa w domu rodzinnym. Potem poszedł w kierunku pola tą samą drogą, którą przebył przed kilku tygodniami, idąc do Bastianów. Po za folwarkiem Ramspacherów podążył dalej ścieżką równoległą do alei wiśniowej i wiodącą przez nieużytki, po których jeździli wozami rolnicy miejscowi. Przyległe pola były puste.

Widok na drogę zasłaniało wzgórze, zasadzone drzewami orzechowemi. Jan chodził tam i z powrotem wzdłuż żywopłotu, okalającego posiadłość Bastianów. Czekał. Miał nadzieję, że Otylia ukaże się wkrótce w alei po drugiej stronie żywopłotu, tędy bowiem wypadało jej iść z domu do kościoła w Alsheimie. A Jan nie wątpił, że pójdzie się pomodlić przy Grobie.

Stanęły mu w pamięci dawne spotkania w tem samem miejscu i to go ostatecznie zdecydowało. Kiedy zawracał po raz trzeci, uderzył go jeden szczegół, którego przedtem nie zauważył.

— Jakież to cudne!—rzekł półgłosem.—To droga dla niej stworzona!

Na końcu alei, o dwieście metrów przed nim, ogród i część domu Bastianów zdawały się, jakby ujęte w ramy czarowne. Drzewa wiśniowe wszystkie razem zakwitły w tymże tygodniu, w którym kwitną grusze i krzewy migdałów. Grusze kwitły pękami, migdały gwiazdami, a wiśnie stare jaśniały długiemi kiściami białych koron.

Około pąków mięsistych, nabrzmiałych, zaczerwienionych sokami wiosny, kłębiły się miliardy śnie-

żnych drżących płatków, tak czasem skupionych, że niknęła pod niemi gałązka. Każde drzewo na wszystkie strony rzucało kwietne strzały. Wiśnie były tak rozłożyste, że stojące naprzeciw siebie drzewa stykały się i łączyły w lekkim pocałunku. Legiony pszczół otaczały je mgłą skrzydlatą. Fale subtelnego miodnego zapachu szły po drodze, a potem leciały w dal ku płaszczyznom, na niwy, przygotowane pod zasiew, na ziemię jeszcze nagą, prawie zaskoczoną przez tę wczesną wiosnę. W całej dolinie nie było drzew równych wspaniałością tym rajskim szeregom. Tylko na folwarku Ramspacherów cztery orzechy, na których zaczęły się pojawiać pierwsze listki, ciemniały w pobliżu, niby emalia nałożona na ściany budynków.

Czas mijał. Z wierzchołków drzew wiśniowych deszczem spadały białe płatki.

Nagle uchyliła się baryera, zamykająca drogę. Poruszyła ją pochylona postać kobieca. To ona. Wyprostowała się i poszła środkiem alei, między dwoma pasami trawy; szła wolno, patrząc w górę i przyglądając się białym kiściom. Widzenie ślubnego wianka musnęło jej oczy dziewicze. Szła bez uśmiechu, lecz cała jej twarz promieniała, a ręce wyciągnęły się instynktownie. W ten sposób jej młodość składała podziękę powitaniu radosnej ziemi. Dążyła do Alsheimu. Wiśnie obsypywały kwiatami jej kapelusz, twarz wzniesioną i ciemno-błękitną suknię. Miała w sobie jakąś wielką powagę. W lewej ręce trzymała książkę do nabożeństwa, napół ukrytą w fałdach sukni. Myślała, że jest zupełnie samą na drodze. Szła otoczona blaskami przyrody, której pięk-

ność odczuwała w całej pełni. W dzielnej dziewczynie nie było śladu niemocy; tryskała z niej odwaga życiowa. Oczy, spoczywające na szczytach drzew, miały wiele myśli; nie było w nich ani śladu rozmarzenia.

Zbliżała się, nie wiedząc, że Jan na nią czekał. Minęła już godzina obiadowa, z Alsheimu więc dochodziły zwykłe echa pracy: turkot wozów, szczekanie psów, głosy dorosłych i dzieci—ale to wszystko zgłuszone było oddaleniem, rozpierzchłe po wielkiej przestrzeni, stłumione wiatrem, niby grudka ziemi oderwana od brzegu i wpadająca do morza.

Kiedy go już mijała, Jan zdjął kapelusz i wychylił się przez żywopłot, a ona, choć miała wzrok wlepiony w kwitnące drzewa, odwróciła głowę z pełnią wiosennego wzruszenia w oczach.

— To pan?—zapytała.

Podeszła natychmiast do miejsca, w którem Jan się zatrzymał.

— Nie mogę już bywać w domu pani, jak dawniej. Dlatego czekałem na nią tu... Chcę panią prosić o jednę łaskę...

— Łaskę? Mówi pan tak poważnie!

Chciała się uśmiechnąć, ale uśmiech do ust nawet nie dobiegł. Pobledli oboje.

— Pojutrze wybieram się na górę świętej Otylii — mówił znów Jan takim tonem, jak gdyby wyjawiał niezmiennie ważne postanowienie... Chcę usłyszeć dzwony wielkanocne. Gdyby pani zechciała także tam pójść...

— Uczynił pan wotum?

Odpowiedział·

— Tak, Otylio! Muszę z tobą pomówić, z tobą samą...

Otylia o krok się cofnęła.

Z pewnym przestrachem w spojrzeniu starała się wyczytać z twarzy Jana prawdę, tę prawdę, którą odgadywała. On także patrzył na nią z bolesnym niepokojem. Stali wyprostowani, drżący, tak sobie bliscy i tak jednocześnie dalecy—rzekłbyś, że grozili sobie wzajemnie. Istotnie, każde z nich doznawało uczucia, że teraz wchodzi w grę spokój całego ich życia. Mężczyzna i kobieta z rasy silnej i namiętnej stali naprzeciw siebie. W tej chwili ujawniały się wszystkie potęgi w ich istotach spoczywające i obalały banalność zwyczajów; w tych prostych słowach: „Muszę pomówić z tobą" Otylia odczuła tchnienie duszy, która się oddaje i wzamian pragnie oddania.

W pustej alei wiśnie ku niebu bielały, a w kielichu każdego kwiatu jaśniało całe słońce wiośniane.

— Pojutrze? — powtórzyła. — Na górze świętej Otylii... By usłyszeć dzwony wielkanocne?...

Powtarzała jego słowa. Chciała zyskać trochę na czasie, lepiej jeszcze przeniknąć te oczy w nią wpatrzone, podobne do zielonych głębin leśnych.

— Pójdę—rzekła.

Ani jedno, ani drugie nie dodało już słowa objaśnienia. Wóz zaturkotał nagle w pobliżu. Jakiś człowiek zamykał bramę w folwarku Ramspacherów. Ale między dwojgiem młodych ludzi padły już słowa, które miały być wypowiedziane.

W tych głębokich duszach słowa odbijały się echem nieskończonem. Nie były to już dusze samotne. W każdej żyła pamięć chwili świętej spotkania z drugą i zagłębiała się w niej, jak ziarno, rzucone w ziemię świeżo zaoraną.

Otylia odeszła.

Jan patrzył z zachwytem na tę piękną, tak zdrową duchem istotę, malejącą w oddali. Szła prosto, nie przeginając kibici. W wyobraźni swojej Jan stroił jej jasną główkę w czarną kokardę Alzatek, mieszkających za Strasburgiem. Otylia już nie patrzyła na kwiaty wiśniowe. Suknia jej wlokła się po ziemi, uginając trawy, zostawiając po sobie trochę kurzu i płatków kwiatowych, a te poruszały się poraz ostatni przed zgonem.

. . . . . .

Do soboty czas się dłużył. Jan powiedział ojcu:

— W Wielką Sobotę kilku pielgrzymów idzie na górę świętej Otylii posłuchać dzwonów. Nigdy tam nie byłem o tej porze. Poszedłbym z nimi chętnie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, ojcze.

Przeszkód nie było.

Skoro tylko Jan się obudził, pierwszą jego czynnością było otworzenie okna. Mgła gęsta zasłaniała horyzont. O sto metrów od domu nie było nic widać.

— Chyba nie pójdziesz w tak okropną pogodę?—zapytała Lucyna, która w jasnym rannym negliżu piła czekoladę małemi łykami w chwili, gdy brat wszedł do sali jadalnej.

— Owszem, idę.

— Nic nie zobaczysz.

— Usłyszę.

— A więc to jest tak bardzo ciekawe?

— Tak.

— W takim razie zabierz mnie z sobą.

W gruncie rzeczy nie miała ona najmniejszej ochoty towarzyszyć bratu w jego wycieczce i chciała go tylko uścisnąć i zatrzymać jeszcze chwilkę.

— A zatem, istotnie chcesz odbyć coś w rodzaju pielgrzymki, tam, na górę?

— Tak, coś w rodzaju...

Pochylona nad filiżanką nie mogła dojrzeć przelotnego uśmiechu na twarzy brata, po chwili więc odparła z lekką goryczą:

— Wiesz dobrze, że nie jestem wcale bigotką; z konieczności wypełniam obowiązki, które na mnie wkłada katolicyzm, ale praktyki religijne nie nęcą mnie wcale. Ty jesteś daleko pobożniejszy odemnie, powiem ci więc, o co się masz modlić. Wierzaj mi, cel ten wart jest pielgrzymki.

Zmieniła ton, głos jej stał się namiętnym, brwi się podniosły, oczy patrzyły zarazem czule i rozkazująco.

— Powinieneś prosić Boga—mówiła—aby ci dał żonę trudną do znalezienia, ale niezbędną w warunkach, wśród których żyć będziesz tutaj. Kiedy wyjdę zamąż i opuszczę te strony, życie w tym domu stanie się okropnem. Ty jeden dźwigać będziesz cały ciężar niepoiozumień rodzinnych i niedowierzania włościan. Przed nikim nie będziesz się mógł poskarżyć.

Chciałeś koniecznie mieszkać w Alsheimie, módl się zatem, aby ci Bóg zesłał żonę silną, wesołą, obowiązkową, którąby cię mogła odczuć i zrozumieć. Widzisz chyba, że myśl moja jest myślą prawdziwej przyjaciółki.

— Szczerej przyjaciółki.

Uścisnęli się.

— Do widzenia, pielgrzymie—powodzenia!

— Do widzenia.

Jan się wymknął — po chwili był już w parku, minął kratę, skierował się wzdłuż winnic i wszedł do lasu, pogrążonego we mgle.

Jodły, skupione na zboczach gór, bliżej potoku wydawały się szare, a dalej ginęły w bezsłonecznych obłokach.

Jan nie poszedł wytkniętą drogą, ale biegł wesoło przez las, wdzierając się na występy mniej strome. Czasami się zatrzymywał dla nabrania tchu i wsłuchiwał się, czy gdziekolwiek w tajemniczej ciszy leśnej, nieprzeniknionej dla oczu ludzkich, nie ozwie się głos Otylii lub innych pielgrzymów. Ale nie! Słyszał tylko staczanie się wód, czasem nawoływanie psa, albo stłumiony głos biednego Oberneńczyka, który przybył do lasu po uschłe gałęzie wbrew regulaminowi, pozwalającemu na zbieranie tych gałęzi tylko we czwartek. Czyż jednak w dzień Wielkiejnocy mógł się nie zagotować kociołek z kaszą? I czyż mgła, ukrywająca wszystko przed oczami dozorców, nie była dowodem Boskiej opieki?

Jan wspinał się z rozkoszą po reglach dzikich i pustych.

W miarę, jak się podnosił coraz wyżej, rosła

w nim myśl o Otylii, radość, że zobaczy się z nią na tem świętem dla Alzacyi miejscu i w dniu podwójnie uroczystym. Dokoła niego zanogcica, ten piękny gatunek paproci, roztaczała swe aksamitne pastorały, pokrywając jakby kobiercem skaliste zbocza. Na wiciach, na których w zeszłym roku rozpięty był przewierceń co pół stopy, pojawiły się listki; zakwitły już pierwsze poziomki i konwalie; bodziszki, które na górze świętej Otylii są wyjątkowo piękne, podnosiły swe kosmate łodygi; mnóstwo brusznic, borówek, czernic, maliniaków, t. j. całe poszycie lasu, a dalej rozległe pola zaczynały już rozlewać w powietrzu zapach swych krążących soków. Mgła wchłaniała te wonie i zatrzymywała je niby siatka rozciągnięta na zboczach Wogezów.

Jan minął Heidenbruch, popatrzył na zielone okienice i poszedł dalej.

— Stryju Ulrychu—szepnął do siebie—byłbyś bardzo szczęśliwy, gdybyś mnie widział i wiedział dokąd idę i z kim, być może, będę za chwilę.

„Wierny," na pół śpiący, zaszczekał, ale nie podbiegł. Góra była jeszcze zupełnie pustą. Myszołów wydzierał się ponad mgłami. Jan, który od czasów swego dzieciństwa nie odbywał podobnej wycieczki, zachwycał się dzikością i spokojem tego krajobrazu. Dosięgnął nareszcie najwyższej części góry, stanowiącej własność biskupstwa strasburskiego, i chcąc ożywić w sobie dawne, z czasów uczniowskich jeszcze wrażenia, długo szedł wzdłuż „muru pogańskiego", mającego w obwodzie 10 kilometrów i otaczającego szczyt św. Otylii. O południu przebył skałę Männelstein i wszedł na dziedziniec klasztorny. Klasztor,

wznoszący się na samym wierzchołku góry, zbudowany był z kamienia i przewyższał otaczające go jodłowe lasy...

Na dziedzińcu ujrzał Jan kilkanaście grup pielgrzymów, wyprzężone powozy, konie przywiązane do pni odwiecznych topoli, które nie wiadomo jakim sposobem wyrosły na tej wyżynie i dzisiaj pokrywają swemi konarami prawie całą przestrzeń zamkniętą murem.

Jan przypomniał sobie drogę i skierował się ku kaplicom, znajdującym się na prawo, obojętnie minął pierwszą, pokrytą freskami i w drugiej, o sklepieniu gotyckiem, zatrzymał się przed szkatułką z relikwiami; tam ujrzał woskową statuę w leżącej postaci, w welonie, w płaszczu fioletowym, podbitym gronostajami, z pastorałem w ręce. Była to patronka Alzacyi, święta Otylia, przełożona klasztoru. Różowa jej twarz jaśniała łagodnością.

Jan ukląkł i z całą głębokością swej wiary modlił się za swój dom rodzinny smutny i rozdwojony, który opuścił dzisiaj z takiem zadowoleniem. Prosił też Boga, aby Otylia Bastian przybyła na tę schadzkę, której godzina już się zbliżała. Ponieważ miał duszę szczerą, dodał jeszcze:

— Boże, wskaż nam drogę naszą, abyśmy mogli kroczyć po niej razem i oby się usunęły wszystkie przeszkody.

Od wieków na tem samem miejscu klęczała cała Alzacya.

Powstał i udał się do refektarza, gdzie już zakonnice zaczęły częstować pierwszych gości.

Otylii tam nie było.

Po śniadaniu, które trwało dosyć długo, opóźniał je bowiem ciągły napływ nowych pielgrzymów, Jan opuścił gościnny refektarz, zeszedł do stóp skały, na której stoi klasztor i znalazł się na drodze, prowadzącej do źródła św. Otylii; tu ukrył się w wysokim gęstym lesie, rosnącym na zakręcie. U stóp jego wał zbitej ziemi, usypanej igłami jodeł, wydawał się jakby zawieszony w powietrzu; po tamtej stronie bowiem zbocze góry było tak strome, że nie było go widać wcale. W jasną pogodę można było widzieć dwie ściany poprzeczne drzew, zagłębiające się na prawo i na lewo. W tej chwili wzrok napotykał zasłonę z mgły, skrywające wszystko: przepaście, zbocza, drzewa; ale wiatr się podniósł i poruszał te opary, których gęstość zmieniała się bezustannie. Była już druga, za godzinę zaś miały uderzyć dzwony wielkanocne. Ciekawi, którzy przybywali dla ich usłyszenia, powinni byli być już blizko wierzchołka. Istotnie, Jan odróżniał w głębokiej ciszy dochodzące z dołu urywki zmieszanych głosów, które zdawały się muskać sklepienie lasu—ktoś gwizdał na nutę Marsylianki: „Formujcie szeregi!" Upewniło to Jana, że nadciągali właśnie studenci alzaccy. Dwóch młodych ludzi, ten, który gwizdał, i drugi, który go dogonił, wyłonili się z mgły i zaraz się oddalili w kierunku opactwa. Potem przeszło młode małżeństwo; żona ubrana była czarno, jej stanik wycięty w półkole, odsłaniał białą koszulę, a na głowie sterczał czepiec z koronek w kształcie hełmu; mąż miał na sobie kamizelkę aksamitną w kwiaty, kaftan zapięty na guziki miedziane i czapkę futrzaną.

— Włościanie z Wissemburga—pomyślał Jan.

Potem przeszły kobiety z Alsheimu i Heiligenstein — świeże, wesołe, gwarzące. Ubrania ich zatraciły cechy narodowo alzackie. Pomiędzy niemi była też i jakaś kobieta z doliny Münster. Można ją było z łatwością odróżnić po czepku z ciemnej materyi, związanej podobnie, jak na południu związują chustki jedwabne i ozdobionej nad czołem czerwonym fontaziem.

Upłynęło jeszcze parę minut.

Jan znowu usłyszał we mgle czyjeś kroki. Ukazał się ociężały ksiądz, który idąc, ocierał twarz chustką. Tuż za nim biegli dwaj chłopcy, o rozgarniętych twarzyczkach, prawdopodobnie zapóźnieni synowie kobiet, które przed chwilą zniknęły na zakręcie. Chłopcy, wymijając księdza, pozdrowili go po alzacku:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, księże proboszczu.

— Na wieki wieków—odparł ksiądz.

Nie znał ich. Przemówił do nich tylko dlatego, ażeby odpowiedzieć na starodawny i piękny sposób pozdrowienia.

Jan, siedząc na pół ukryty u stóp jodły, usłyszał jeszcze głos starca, który także wyminął księdza ze słowami:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Ileż razy pozdrowienie to rozbrzmiewało pod sklepieniem lasu!

Jan patrzył przed siebie tak, jak patrzą ludzie, pogrążeni w swych marzeniach. Wiozą oni kształty przedmiotów, ale nie przywiązują do nich myśli...

Pozostawał czas niejakiś w tem położeniu, kiedy nagle, przez mgłę, do uszu jego dobiegł cichy, zaledwie dający się rozróżnić szept, słabszy, niż świergot ptasząt: „Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami...” potem nastąpił drugi szmer, który zakończył *Pozdrowienie anielskie:* „Święta Maryo, Matko Boża, módl się za nami...” Jakieś mimowolne zmieszanie, jakaś tajemnicza pewność poprzedziła pojawienie się dwóch kobiet, które właśnie wstępowały na górę.

Obie były wysokiego wzrostu.

Starsza z nich, stara panna z Alsheimu, drobna kapitalistka, mieszkała przy kościele, który przyozdabiała w dnie uroczyste. Wątła, o twarzy szarej, wyglądała na znużoną, ale mimo to uśmiechała się pogodnie, odmawiając Różaniec. Młodsza szła z prawej strony ścieżką wiodącą na samym brzegu zbocza, z głową trochę dumnie podniesioną. Jej matowe blond włosy, przypominające barwą piękną korę jodły i cała postać kształtna, silna, odcinała się na bladem tle obłoków, wypełniających krzywizny. Jan się nie poruszył, ale mimo to ona go dostrzegła, odwróciła głowę i uśmiechnęła się, ale nie przerywała modlitwy, tylko skinieniem oczu wskazując szczyt góry, zdawała się mówić:

— Będę cię oczekiwała tam!

Obie kobiety nie zwolniły kroku. Szły równo, wyprostowane, poruszając lekkiem bujaniem się ciała Szkaplerz, który każda z nich trzymała w ręku i wkrótce zniknęły w cieniu lasu. Na zakręcie drogi, wiodącej wprost ku klasztorowi i przerzynającej wierzchołek góry, ujrzał obie podróżniczki. Szły prędzej,

niż dotąd, zadowolone, że już przybyły do celu podróży. W rękach miały otwarte parasole, mgła bowiem zaczynała się skraplać. U stóp drzew zaczęły się zarysowywać długie cienie. Była to pora, kiedy słońce zwykło się było pochylać ku Wogezom i leżącym po za niemi dolinom Francyi. Pielgrzymi, którzy już oddali hołd relikwiom świętej Otylii, śpieszyli do miejsc, uświęconych przez tradycyę pobożną lub świecką, do źródła św. Otylii, św. Jana, wzdłuż „muru pogańskiego", albo też wązką ścieżką wspinali się na skały Männelsteinu, zkąd roztacza się wspaniały widok na sąsiednie wzgórza, na szczyty Bloss i Elsberg, na ruiny zamków, jak np. Andlau, Spesbourg-Landsberg i inne, których starożytne wieżyce wznosiły się ponad jodłami.

Jan widział, jak dwie podróżniczki przeszły dziedziniec klasztorny, kierując się ku kaplicom. Wtedy zawrócił aż do początku alei, którą wiatr zamiatał i szedł wzdłuż wielkiego budynku, przypominającego fortyfikacye opodal twierdzy, które gdzieniegdzie przecinały sklepione przedsionki, tworząc wejścia.

W dziesięć minut później Otylia wyszła z kaplicy i domyślając się, że Jan Oberlé nie czeka na nią na dziedzińcu, wśród tłumu ludzi, skierowała się w stronę lasu. Ubrana była tak, jak w Wielki Czwartek, w tę samą ciemną suknię i letni żakiet, na głowie miała słomiany kapelusz skromny i młodzieńczy, przybrany tiulem z szerokiem rondem, podniesionem z jednej strony. Wyglądała w nim bardzo ładnie. W ręce trzymała parasolkę. Szła prędko, z głową nieco naprzód pochyloną, nie zwracając uwagi na prze-

bywaną drogę, tak jak idą ludzie, pogrążeni w modlitwie lub marzeniu.

Kiedy się zbliżyła do Jana, stojącego na prawo od wejścia, podniosła ku niemu twarz i mówiła jednym tchem:

— Towarzyszka moja odpoczywa, a ja przyszłam tutaj...

— Ach, jak to dobrze, żeś mi uwierzyła — zawołał Jan.—Chodźmy, Otylio!

I poszli razem, tuż obok siebie, przez aleję, wysadzaną cienkiemi drzewami, pokrzywionemi przez burze zimowe.

Jan uczuwał tak silne wzruszenie, że mógł myśleć i mówić tylko o jednem, t. j. o swej wdzięczności dla Otylii, która szła równie wzruszona, milcząca, jakby wsłuchana w to, czego on nie wypowiadał.

Tam, gdzie droga zwraca się na dół, weszli na ścieżkę, prowadzącą dokoła klasztoru. Otaczał ich las gęsty i wysoki. Nie mieli już żadnych świadków. Jan widział, że złotawe oczy Otylii, głębokie i poważne, podniosły się ku niemu. W ciszy leśnej słychać było tylko szmer kropli mgły, spadającej z liści.

Stali przytuleni do siebie.

— Prosiłem cię o przyjście — rzekł Jan — poto, ażebyś zawyrokowała o mojem życiu. Byłaś mi przyjaciółką w dniach pierwszej młodości. Chciałbym, ażebyś nią pozostała na zawsze.

Wzrok Otylii błądził w przestrzeni. Drżała lekko, odpowiadając:

— Czy pomyślałeś?...

— O wszystkiem.

— Nawet o tem, co nas może rozdzielić?...

— Co chcesz przez to powiedzieć? Czego się obawiasz? Czy wejścia w rodzinę rozdwojoną?

— Nie.

— O, jestem pewny, że ty pogodzisz moją rodzinę. Wniesiesz do niej radość i spokój. Czegoż się zatem lękasz? Może oporu ze strony naszych ojców, którzy się stali wrogami?

— Toby się dało zwyciężyć — odparła młoda dziewczyna.

— A więc boisz się tego, że twoja matka mnie nienawidzi!—zawołał Jan gwałtownie.—Ona mnie nienawidzi!... Nieprawdaż!... Wtedy była dla mnie tak surową, obrażającą.

Potrząsnęła jasną główką na znak przeczenia.

— Moja matka nie będzie tak skorą do uwierzenia w ciebie, jak mój ojciec i ja. Ale kiedy się przekona, że cudzoziemskie wychowanie nie zmieniło w tobie duszy alzackiej, otrząśnie się ze swego uprzedzenia.

Po chwili milczenia dodała:

— Zdaje mi się, że się nie mylę: przeszkody, istniejące dziś, mogą być usunięte przezemnie, lub przez ciebie, albo też przez nas oboje. Obawiam się jednak czegoś nieokreślonego, jakiegoś zdarzenia, któreby jutro mogło pogorszyć dzisiejszy stan rzeczy i tak już dosyć zmącony.

— Rozumiem—rzekł Jan—obawiasz się ambicyi mego ojca.

— Być może!

— Tyleśmy już przez nią cierpieli. Ale on jest

przecież moim ojcem. Zależy mu na tem, ażebym pozostał tutaj. Powtarza mi to codziennie. Skoro się dowie, że cię wybrałem, Otylio, choćby miał nawet jakieś inne osobiste zamiary, mogące przeszkodzić naszemu połączeniu, zgodzi się na to, aby je przynajmniej odłożyć... Nie miej więc tej obawy... Zwyciężymy!

— Zwyciężymy!—powtórzyła.

— Jestem tego pewny, Otylio! Ty uczynisz słodkiem moje życie, które bez ciebie byłoby tak strasznie ciężkie, może nawet niemożliwe do zniesienia. Dla ciebie tylko wróciłem do kraju... Widziałem tyle świata, a jednak nigdzie nie spotkałem kobiety, którąby miała dla mnie tyle uroku, co ty, i którąby wywierała na mnie wrażenie, jakby ci to wyrazić... górskiej krynicy, świeżej i głębokiej. Ile razy przychodziła mi do głowy jakaś myśl o przyszłem małżeństwie, zawsze ukazywał mi się twój obraz. Kocham cię, Otylio!

Ujął jej rękę, a ona, z oczami wzniesionemi w świetlistą przestrzeń, roztaczającą się przed nimi, odparła:

— Bóg mi świadkiem, że kocham cię nie mniej.

Ogarnęło nią jakieś rozkoszne wzruszenie.

Jan uczuł, jak ręka jej drżała w jego dłoni.

— Tak — mówił do niej, szukając oczami jej oczu, utkwionych w przestrzeń — zwyciężymy wszystko! Przełamiemy liczne przeszkody, które zrodziła ta nieszczęsna sprawa narodowa... Tylko ona nas dzieli...

— Niewątpliwie. Ona jedna panuje w tym zakątku.

— Ona zatruwa wszystko!

Ale Otylia, zwracając ku Janowi swoją twarz promienną tem wielkiem, pięknem uczuciem, które on w niej rozniecił, wyrzekła:

— Powiedz raczej, że powiększa wszystko. Nasze kłótnie tutejsze nie są sporami jednej tylko wsi. My wszyscy jesteśmy za ojczyzną, albo przeciw niej. Zmuszeni jesteśmy codziennie do wypowiadania naszych przekonań, tworzenia sobie co krok nowych wrogów, zrywania z dawnymi przyjaciółmi, którzyby nam chętnie pozostali wiernymi, ale którzy przestali być nimi dla Alzacyi. Niema prawie w naszem życiu codziennem czynu obojętnego, czynu, któryby nie był przyzwoleniem. Wierzaj mi, Janie, że w tem wszystkiem jest dużo wzniosłości.

— To prawda, moja Otylio ukochana!

Umilkli oboje, napawając się rozkoszą tego słodkiego wyrazu. Dusze ich skupiły się w oczach i patrzyły na siebie, drżące ze wzruszenia. Cichym głosem, pomimo, iż jedynemi świadkami ich szczęścia były jodły, które wiatr poruszał lekkim powiewem, mówili o swojej przyszłości, jak o czemś, co już zaczęli zdobywać.

— Będę miał za sobą Lucynkę—mówił Jan.— Przy pierwszej sposobności powierzę jej swoją tajemnicę. Będzie mnie popierała w imię własnego interesu i przez przywiązanie do mnie. Dużo na nią rachuję.

— Ja zaś liczę na mego ojca—odparła Otylia.— On jest tak dobrze dla ciebie usposobiony. Strzeż

się tylko, ażeby nie popełnić jakiejś nieostrożności, któraby go mogła rozdrażnić. Nie staraj się widywać mnie w Alsheimie, nie przyspieszaj godziny.

— Rozkosznej godziny, w której zostaniesz moją narzeczoną!

Uśmiechnęli się do siebie po raz pierwszy.

— Kocham cię tak głęboko —zaczął znów Jan— że nie śmiem cię nawet prosić o pocałunek, któregobyś mi pewnie nie odmówiła... Nie mam prawa... Zależymy oboje nietylko od siebie, Otylio! A przytem miło mi jest okazać ci, jak bardzo jesteś dla mnie świętą... Powiedz mi przynajmniej, że odchodząc ztąd, zabiorę z sobą choć cząstkę twojej duszy?

Usta jej szepnęły: „tak." A zaraz potem dodała:

— Czy słyszysz, tam, pierwszy dzwon wielkanocny?

Wychylili się oboje w tę stronę, gdzie las się zniżał.

— Nie, to pewnie wiatr porusza liście drzew.

— Chodźmy—rzekła—dzwony za chwilę uderzą, a jeśliby mnie wtedy nie było na górze, towarzyszka moja mogłaby opowiedzieć...

Nie kończąc zdania, pociągnęła go za sobą aż do stóp skały; tam się rozłączyli, aby wrócić do opactwa osobno.

— Przyjdę później na taras, aby cię jeszcze zobaczyć—rzekła Otylia, rozstając się z Janem.

Niebieskawe cienie kładły się w zagłębieniach wąwozu. Noc zdawała się zbliżać, przynosząc z sobą myśl o jutrze.

Po kilku minutach Jan przebył dziedziniec, przeszedł korytarze i otworzył drzwi, wychodzące na ogród, położony na wschód zabudowań klasztornych. W ogrodzie tym zgromadzają się zwykle pielgrzymi, aby w jasną pogodę popatrzeć na Alzacyę.

Z lasu sterczał wierzchołek skały w kształcie ostrogi, przewyższającej jodły, rosnące na zboczach. Prowadził do niej przez szczyt góry niewysoki mur kamiennny. Z najwyższego punktu miejsca, objętego murem, niby z wierzchołka latarni morskiej, widać na prawo cały łańcuch gór, a wprost i na lewo równiny Alzacyi.

Mgła się rozdzieliła na dwa pasy, bo słońce już zaszło za szczyty Wogezów. Szare, przyćmione obłoki nie przewyższały skalistej linii szczytów. Tuż nad niemi promienie słońca, padające prawie poziomo, przenikały mgłę i zabarwiały ją złotawo, nadając drugiej połowie krajobrazu wygląd jakiejś lekkiej, świetlnej piany. Ten rozdział mgły wykazywał szybkość, z jaką obłoki z dolin Alzacyi dążyły ku uchodzącemu słońcu. Różnorodne mgły zbierały się w oświetlonej przestrzeni, rozpościerały się w niej, zmieniając co chwila swe kontury. Zdawało się, że jakaś siła porywa te warstwy i unosi je wyżej, ku światłu.

W ciasnym kawałku ziemi, przeznaczonym dla pielgrzymów i ciekawych, stał u wejścia jakiś starzec, ubrany jak mieszkańcy północnej Alzacyi. Obok niego znajdował się ksiądz o siwych, wijących się włosach, ten sam, którego rano pozdrawiały dzieci na zboczu świętej Otylii. O parę kroków od księdza stało młode małżeństwo włościańskie z Wissemburga, a jeszcze dalej, w punkcie najbardziej wyniosłym, sie-

dzieli na murze dwaj studenci, opierając się o siebie. Możnaby ich wziąć za braci, tak byli podobni do siebie. Obaj mieli wargi wydatne, wysunięte naprzód i małe, ładne brody, rozdzielone w środku; różnili się tylko kolorem włosów: jeden był blondynem, a drugi szatynem. Wszyscy ci ludzie byli Alzatczykami. Od czasu do czasu zamieniali z sobą banalne wyrazy, jak czynią zwykle ludzie nieznajomi.

Kiedy się do nich zbliżył Jan Oberlé, odwrócili się prawie wszyscy i wszyscy uczuli się jakby związani wspólnością rasy, która się wyraziła w ogólnej nieufności.

— Czy to Niemiec, ten, tam? — zapytał jakiś głos.

Starzec, stojący obok księdza, rzucił przelotne spojrzenie w kierunku Jana i odrzekł:

— Nie. Wąsy ma francuskie i wyraz twarzy swojski.

— Widziałam go, jak przechadzał się z panną Otylią Bastian z Alsheimu — odezwała się młoda kobieta.

Całe grono się uspokoiło, a po chwili nabrało jeszcze większego zaufania do Jana, kiedy ten pozdrowił księdza po alzacku i zapytał:

— Czyżby się dzwony alzackie spóźniły?

Uśmiechnęli się wszyscy nie z jego słów, ale ponieważ uczuli się jakby u siebie, pomiędzy swymi, bez żadnych krępujących świadków.

Otylia przyszła wkrótce i oparła się o mur, na prawo od pierwszej grupy. Jan umieścił się na le-

wo. Patrzyli na siebie i cierpieli oboje na tem, że się tak bardzo kochają, że wyznali sobie swoje uczucia, lecz mogą liczyć tylko na siebie samych.

Dzwony się nie spóźniły. Dźwięki ich były wchłonięte przez podnoszącą się mgłę. Nagle wyrwały się z obłoków. Zdawało się, że każda warstwa mgły, uderzając o mur, rozpryskiwała się, jak bańka, rozlewając na szczycie świętej góry melodye dzwonów. „Wielkanoc! Wielkanoc! Chrystus zmartwychwstał! Odkupił świat i zbawił ludzi! Niebiosa się otworzyły."

Tak śpiewały dzwony Alzacyi. Dźwięki ich szły od stóp góry i z dalszych stron, z bardzo daleka. Były tam głosy małych dzwonków i wielkich dzwonów katedralnych. Dźwięki te nie przerywały się i przechodziły między jednem a drugiem uderzeniem w jakiś huk przeciągły. Czasem wydawały się tak lekkie, przerywane, delikatne, jak ruch czółenka tkackiego w osnowie tkaniny. Czasem znów tworzyły niby jakiś chór cudowny, tajemniczy. A czasem znów słyszeć się dawały, jakby okrzyki radości licznych kościołów, albo też hymny wiecznej wiosny, które z głębi zamglonych dolin wznosiły się coraz wyżej, na szczyt świętej Otylii i zlewały razem w jednę harmonię.

Wspaniałość jej oddziałała na zgromadzonych ludzi. Wszyscy umilkli. Zdawało się im, że cała atmosfera pogrążona jest w modlitwie. Jedni myśleli o Zmartwychwstającym Chrystusie, inni zaś o Alzacyi.

— Widać już błękit nieba — odezwał się jakiś głos.

— O, tak, błękit tam wysoko — powtórzył głos kobiecy niby we śnie.

Zaledwie go usłyszano wśród ryku tonów, które wiatr przynosił z doliny. A jednak wszystkich oczy naraz podniosły się ku niebu i ujrzały, jak wśród mgieł, płynących ku słońcu, tworzyły się jakieś przepaście błękitów i znów się wypełniały mgłą z jakąś szaloną szybkością.

Spojrzeli na dół i zobaczyli, że i tam, na zboczach, poprzerywały się obłoki. Między chmurami niebo było zupełnie czyste. Z pomiędzy płynących oparów wyłaniały się coraz inne części lasu, czarne rozpadliny, krzaki, skały. Potem, nagle, ostatnie szmaty mgły, wydłużone, poszarpane, jakieś żałosne, wzniosły się wijąc ku górze, musnęły taras, minęły go i rozpłynęły się w powietrzu. Ukazała się dolina Alzacyi, błękitna, ozłocona promieniami słońca.

Jeden z patrzących zawołał:

— O, jakże to piękne!

Wszyscy się pochylili naprzód, aby lepiej zobaczyć przez szczelinę górską rozciągającą się w nieskończoność dolinę. Wszystkie dusze alzackie napełniły się wzruszeniem. U ich stóp leżało trzysta wsi ojczystych, rozrzuconych wśród świeżej zieleni młodych zbóż; tworzyły one jakieś różowe punkty i zdawały się zasypiać przy dźwięku dzwonów. Rzeka, na skraju horyzontu, tworzyła niby wał srebrny, połyskujący. Po za nim zaczynały się wzgórza, ale kontury ich ginęły we mgłach, zawieszonych jeszcze

nad Renem. Przeciwnie zaś, tuż blizko, na pochyłościach regli i w lesie św. Otylii można było odróżnić najdrobniejsze szczegóły .W niektórych miejscach las zagłębiał się w dolinę, tworząc jakby przylądki o barwie ciemno zielonej; gdzieindziej znów blada zieloność wiosennych łąk wrzynała się pomiędzy jodły. Cały krajobraz oświetlony był tylko odblaskiem promieni słonecznych. Żaden punkt świecący nie przykuwał wzroku. Barwy ziemi zlewały się w jednę harmonię, podobnie jak dźwięki dzwonów.

Stary Alzatczyk, trzymający się stale u boku księdza, przerwał ciszę i rzekł, wyciągając naprzód ramiona:

— Słyszę dzwony katedry.

I palcem wskazywał szpiczasty szczyt sławnej wieży strasburskiej, świecącej w oddali barwą ametystu. Teraz, gdy już mogli widzieć wioski, tonące w łunie zachodzącego słońca, zdawało się im, że rozpoznają dźwięki dzwonów.

— Słyszę—odezwał się inny głos—jak dzwonią w opactwie Marmontier. Ach, jakie ładne dzwonienie!

— Ja — zawołał trzeci — słyszę dzwony z Obernai...

— A ja z Heiligensteinu.

Wieśniak, pochodzący z okolic Wissemburga, rzekł:

— Jesteśmy zbyt daleko, ażeby odróżnić dzwony św. Jerzego z Hagueanau... a jednak... słuchajcie teraz...

Stary Alzatczyk powtórzył z powagą:

— Ja słyszę dzwony katedry.

A później dodał:

— Spojrzyjcie jeszcze w górę!

I zobaczyli wszyscy, że obłoki podniosły się jeszcze wyżej, aż do tych warstw atmosfery, dokąd dochodziły promienie słońca. Obłok, bezkształtny na zboczach góry, na niebie rozciągał się ukośnie w kształcie obręczy, przerzuconej ponad doliną i Wogezami. Obręcz ta wydawała się jakby złożoną ze snopów mieczyków; jedne z nich były krwisto-czerwone, inne nieco bledsze, a jeszcze inne miały barwę roztopionego złota. Wszyscy widzowie, zawieszeni między dwiema przepaściami, wpatrzeni byli w ten pas świetlany, który swym odblaskiem rozjaśniał ziemię, uwydatniając odległe domy stolicy i wieżyczkę katedry, blado się rysującą na tle zgęszczonych cieniów.

— Widok ten przypomina mi noc 23-go sierpnia 1870 go roku—zaczął stary Alzatczyk.—Wtedy też byłem tutaj...

Wszyscy, nawet młodzi, po wiele razy słyszeli już o tym dniu. Spojrzenia ich skierowały się z pewną czułością na ostry szpic wieży, zkąd dochodziło jeszcze nieco światła i dźwięk dzwonów, w które znów uderzono.

— W ów dzień były tu ze mną kobiety i dziewczęta z dolin. Opuściły one swe wioski, uchodząc przed hukiem armat, który się stawał coraz silniejszym. Słyszeliśmy strzały armatnie, jak teraz słyszymy dzwony. Bomby rozpryskiwały się w kawałki, niby race. Nasze kobiety płakały. To była

właśnie noc, kiedy spłonęła biblioteka... i nowa świątynia... muzem obrazów... i dziesięć domów Broglie. Żółto-czerwony dym przysłonił niebo, tworząc obłoki w rodzaju dzisiejszych. Cały Strassburg stał w ogniu, skierowano bowiem przeciw niemu sto dziewięćdziesiąt trzy tysiące granatów.

Jeden ze studentów zacisnął pięście.

— Precz z nimi!—zamruczał drugi.

Wieśniak zdjął czapkę i trzymał ją pod pachą, nie mówiąc ani słowa. Dźwięki dzwonów były coraz rzadsze. Nie słychać już było ani dzwonów z Obernai, ani z St. Nabor, które zgromadzeni zdawali się rozróżniać. Tony zdawały się gasnąć powoli, niby światła. Noc zapadała.

Dwie kobiety były blizkie płaczu. Wszyscy milczeli.

Jan zwrócił się do księdza:

— Księże proboszczu—rzekł—podczas kiedy jeszcze dzwony dźwięczą pieśnią Zmartwychwstania, pomódl się za Alzacyę!

— Dobrze, mój mały, dobrze—rzekł stary Alzatczyk—widzę, żeś nasz!

Znużona, jakby ospała twarz księdza, nagle się ożywiła. W jego drżącym głosie zdawały się dźwięczeć jakieś struny zerwane. Ból dawny, dotąd nie zagojony, poruszał jego ustami. Mówił wolno, patrząc razem ze wszystkimi na Strassburg, ginący w mrokach wieczoru:

— Boże! Oto z wysokości tej świętej góry widzimy naszą ojczyznę, nasze miasta, wioski, pola! Ale, o Panie, i z drugiej strony Wogezów leży ziemia na-

sza! Tyś pozwolił, że zostaliśmy rozdzieleni na dwie części! Na tę myśl serca nasze krwią się oblewają. Przecież po za temi górami mieszka naród ukochany przez nas, ukochany przez Ciebie. Jest to naród najstarszy ze wszystkich narodów chrześcijańskich, najmilszy Tobie. Najwięcej ma on aniołów w Twym niebie, bo ma najwięcej kościołów i kaplic, najwięcej mogił świętych do obrony, najwięcej prochów błogosławionych, zmieszanych z ziemią ugorów, żywiących jej trawy i przenikniętych jej wodami. O, Panie! Myśmy tyle cierpieli! Cierpiały nasze ciała, nasze dobra; dziś jeszcze cierpimy w naszych wspomnieniach. Spraw, Panie, niech one trwają wiecznie i niech Francya o nas nie zapomina! Spraw, Panie, niech będzie najdogodniejszą przewodniczką narodów! Oddaj jej siostrę utraconą, która tak pragnie powrócić!

— Amen!

— Już wracają dzwony Wielkanocne!

— Amen, amen — powtórzyły liczne głosy męzkie. —Amen.

Inni płakali w milczeniu. W ochłodłem powietrzu, idącem od przepaści, słychać było słaby głos jednego tylko dzwonu. Dziady kościelne musiały już zapewne opuścić dzwonnice, które zniknęły w cieniach, pokrywających równinę.

Ponad wzniesionym tarasem obłoki, pędzone ku zachodowi, utraciły już swe żywe barwy. Tylko sam czubek Wogezów objęty był purpurą i fioletem. W ciemnościach nocy ukazywały się gwiazdy, niby

pierwsze pierwiosnki, rozpękające w tej właśnie chwili pod osłoną jodeł.

Wkrótce na tarasie pozostały tylko trzy osoby. Inni odeszli, gdy zostały odsłonięte najskrytsze tajniki ich serc.

Stary ksiądz, widząc dwoje młodych ludzi, przytulonych do siebie i głowę Otylii opartą o ramię Jana, zapytał.

— Narzeczona?

— Niestety, nie—odparł Jan.—Życzcie, ojcze, aby to nastąpiło co prędzej.

— Życzę wam tego. Bardzoś to dobrze powiedział przed chwilą. Niech Bóg wam da szczęście! Obyście wy, młodzi, doczekali chwili, gdy Alzacya znów będzie francuską!

Z temi słowy opuścił taras.

— Żegnam cię, Janku—rzekła szybko Otylia.—Żegnam!

Ścisnęła jego dłoń i odeszła, nie odwracając głowy.

Jan pozostał jeszcze i oparł się o mur tarasu. Z jednego lasu do drugiego, szeroko rozpostarłszy skrzydła, przelatywały nocne ptaki, sowy, puhacze, orły. W przeciągu kwadransa przynajmniej zmieszane ich głosy rozlegały się na stokach góry. Potem nastąpiła zupełna cisza. Spokój ogarnął pachnące uśpione lasy

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
174109

Biblioteka WSP Kielce
0121720